Nr. 46. PRACA Rok III.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann. Adr. tel.: „Praca“ Posen.

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.

Sprawozdanie
Związku Tow. Przem. w Poznaniu
za czas od 1 czerwca do 16 paźdz. 1899.

Brak wykształcenia ogólnego i niedostateczne przygotowanie zawodowe przeważnej części naszych przemysłowców sprawia, że tylko jednostki z pośród wielkich mas rzemieślników wysuwają się naprzód, że tylko jednostki zajmują wybitniejsze stanowisko w trudnej walce konkurencyjnej i że tylko jednostki zasługują w ścisłem znaczeniu na miano przemysłowców. Całe rzesze cechuje partactwo, gniecie ciemnota z całem rojem ułomności, za któremi ciągnie nieubłagana nędza. A nam, jeżeli nie przodować, to przynajmniej tuż za innymi kroczyć należy we wszystkich dziedzinach życia, a przedewszystkiem w sposobie uprawiania rzemiosła. Wszakże to dla nas kwestya chleba, kwestya bytu.

Przeświadczenie o potrzebie podźwignięcia naszego rzemiosła i myśl popchnięcia u nas przemysłu na lepsze tory, zaprząta umysły zarządu i rady Związku Towarzystw Przemysłowych. Wspieraniem Towarzystw w usiłowaniach około podniesienia rzemiosła, przemysłu, zarobkowości, dąży czwarty rok istnienia liczący Związek do spełnienia swego zadania.

Ogłosiwszy szczegółowe sprawozdanie z czynności naszej za czas od 1 stycznia 1896 do 1 czerwca r. b., zdajemy dzisiaj sprawę z usiłowań naszych w wytkniętym kierunku w czasie od 1 czerwca do 16 października r. b.

W przekonaniu, że we wielu Towarzystwach przemysłowych panuje trudność w wyszukaniu prelegentów i że nie ma kto zająć się obrobieniem tematów, wnikających w stosunki rzemiosła, kazaliśmy w licznych egzemplarzach wydrukować wygłoszoną na ostatniem zebraniu delegatów dnia 28 maja 1899 r. rozprawę p. Bendlewicza, członka rady przemysłowej Związku, i rozesłaliśmy ją do wszystkich Towarzystw przemysłowych, należących do Związku. Autor rozprawy tej, wykazawszy zawody przemysłowe obiecujące powodzenie a mało u nas reprezentowane, odsłonił różne niedostatki naszego rzemiosła.

W broszurze tej znajdą Towarzystwa Przemysłowe materyał na cały szereg interesujących pogadanek, zdolnych zająć słuchaczy i pobudzić zwłaszcza młodszych do rozumnej pracy i do podążenia za postępem. Zarządy Towarzystw znajdą tam nadto wskazówki, jakie zawody należy polecać młodzieży, poświęcającej się przemysłowi. Do przesyłki tej załączyliśmy w osobnej broszurze wykład p. Skórnickiego z Poznania na temat: „Jakie przedewszystkiem zadania mają Towarzystwa przemysłowe?“ I ta praca zawiera bogactwo myśli i rad zdrowych.

Praktycznie przeprowadza Związek jeszcze w ten sposób swe cele, że udziela w miarę posiadanych zasobów młodzieży subwencyi na teoretyczną i praktyczną naukę w dziedzinie przemysłu. Świeżo udzielił Związek zasiłku pieniężnego zdolnemu w swym zawodzie pomocnikowi zegarmistrzowskiemu, aby mu umożliwić nabycie obszerniejszych wiadomości mianowicie w korespondencyi. Młodzieniec ten pójdzie następnie na szkołę techniczną dla zegarmistrzów w Glashütte pod Dreznem.

Panience zaś pewnej dał zapomogę na pokrycie kosztów nauki pończoszniczstwa i trykotaży.

Z dawniejszego zaś czasu ma Związek stypendyata zawodu ślusarskiego na szkole technicznej w Mitweidzie.

Związkowi chodzi przytem o danie młodzieży przemysłowej sposobności wydoskonalenia się i o przysporzenie naszemu rzemiosłu zdolnych reprezentantów, jak niemniej o dopomożenie jednostkom do uzyskania intratniejszego utrzymania, a pośrednio o wywołanie wśród młodzieży rzemieślniczej potrzeby dalszego zawodowego kształcenia się.

Aby Towarzystwa Przemysłowe wyprowadzić z apatycznej jednostajności, niektóre obudzić z letargowego uśpienia, a wszystkie pobudzić do więcej ożywionej pracy, postanowił zarząd wspólnie z radą przemysłową urządzać w różnych częściach Księstwa zebrania okręgowe. Biorąc wzgląd na położenie jeograficzne siedzib Towarzystw, dalej na kolejowe ich połączenie, unormował tymczasem okręg południowy, wcieliwszy do niego następujące grupy miast:

Jarocin, Jaraczewo, Żerków i Nowemiasto.
Gostyń i Piaski.
Koźmin, Borek i Pogorzela.
Krotoszyn, Dobrzyca, Kobylin i Zduny.
Pleszew, Ostrów i Raszków.
Odolanów i Sulmierzyce.
Ostrzeszów, Grabów, Mikstat i Kempno.

Pierwsze zebranie południowego okręgu odbędzie się w Jarocinie 19 listopada b. r. na salce p. Basińskiego o 1 z południa, o czem w gazetach nastąpi szczegółowe ogłoszenie.

Dogodnie naznaczony czas zebrania sprawi, że liczniejsze zastępy przemysłowców stawią się, aby wysłuchać referatów i wziąść udział w obradach nad ważnemi sprawami. Tem więcej można się spodziewać znacznego udziału, że temata rozpraw bardzo stósownie dobrane. Traktowane będą następujące sprawy:

1) „Rzemiosło wobec dzisiejszej walki konkurencyjnej.“

2) „O konieczności urządzania wystaw przemysłowych.“

Zastanawiając się na kilku posiedzeniach nad zawodami, obiecującemi powodzenie a mało jeszcze u nas uprawianemi, przyszedł zarząd z radą przemysłową do przekonania, że młodzieńcom, którzy na Wielkanoc ukończą szkoły ludowe i średnie, odnośnie obywatelskie, a mającym zamiar poświęcić się przemysłowi, polecić można przedewszystkiem zawód ceramiczny, blacharstwo i ślusarstwo.

Na ostatniem wspólnem posiedzeniu zarządu z radą dnia 15 b. m. zajmowano się sprawą wyborów do Izb rzemieślniczych i postanowiono wpływać na cechy i zarządy Towarzystw przemysłowych, aby z przysługującego członkom ich prawa wyboru korzystały i w razie potrzeby o prawa te się upomniały.

Zastanawiano się także nad możliwym wpływem powstającej wielkiej fabryki stolarskiej na Wildzie pod Poznaniem i fabryki obówia w Poznaniu na małe stolarnie i warsztaty obówia. Sprawa ta będzie jeszcze dalej traktowana.

Do Związku przystąpiło świeżo Towarzystwo w Kostrzynie.

Związek będzie mógł w większych rozmiarach wpływać na podniesienie naszego przemysłu, gdy wszystkie Towarzystwa przemysłowe z nim się zespolą. A tak wielka ich liczba chodzi jeszcze luzem, jakoby ta droga była w naszych stosunkach najlepszą!

Kończąc nasze sprawozdanie, wypowiadamy nadzieję, że zarządy Towarzystw przemysłowych wezmą na najbliższem swem zebraniu sprawę tę pod rozwagę i że rezultatem obrad będzie uchwała przystąpienia do Związku.

W jedności siła, w miłości zwycięztwo!

Związek Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu.



Przemysł zegarmistrzowski

w Szwarcwaldzie i w Saksonii.

Już oddawna umiano odróżniać porę dnia, po słońcu. Cienie, jakie słońce rzuca na ziemię w różnych godzinach, umiano już w starożytnym Egipcie spożytkować w celu oznaczania godzin. Oczywiście możliwe to było we dnie słoneczne, zgoła zaś niemożliwe w nocy. Chińczycy wynaleźli czasomierze wodne. Składały się one z dwóch nierównych naczyń, z których mniejsze miało otwór na dnie. To ostatnie kładli do większego naczynia, które zawierało wodę, poczem pierwsze naczynie napełniało się zwolna wodą. Po ilości tej wody sądzili oni o ilości czasu upłynionego.

Zegary kołowe, poruszane ciężarami, znano już w 9 wieku, lecz niewiadomo, kto je pierwszy zbudował. Zakonnik z Magdeburga Gerbert, który został papieżem pod imieniem Sylwestra II. uważany jest za twórcę jednego z najpierwszych takich zegarów (r. 996). Zegar ten pokazywał tylko godziny i nie bił. Dopiero w 3 wieki później zaczynają się pojawiać zegary bijące. W r. 1370 król francuzki Karol V zawezwał z Niemczech słynnego zegarmistrza Henryka von Wick, który umieścił na wieży pałacu królewskiego w Paryżu jeden z największych naówczas zegarów.

Pierszem miastem w Niemczech, jakie miało zegar bijący, był Augsburg (r. 1364). Wszystkie jednak zegary z onych czasów były bardzo niedoskonałe, zbywało im bowiem na wahadle, które, jak wiadomo, reguluje bieg całego mechanizmu. Wynalezienie wahadła zawdzięczamy — florenckiemu fizykowi Galileuszowi, który przypadkowo odkrył prawa wahadła, obserwując kołysanie się świecznika w kościele.

Sława zbudowania pierwszego zegarka kieszonkowego należy do zegarmistrza norymberskiego — Piotra Hele. Ten zbudował w r. 1560 pierwszy zegarek kieszonkowy, który posłużył za wzór dla innych, zwanych „jajkami norymberskiemi.“

Tak przedstawia się w krótkości historya zegara.

Żyjący w samotnej okolicy źródeł Dunaju, górale szwarcwaldzcy zajmowali się oddawna wyrobem zegarów. Stało się to od lat wielu najważniejszą gałęzią ich przemysłu domowego.

Już w drugiej połowie 17 stulecia znajdujemy w Szwarcwaldzie pierwsze zarodki tej gałęzi przemysłu. Stolarze mianowicie tamtejsi zajmowali się już wówczas wyrobem zegarów drewnianych narówni z innemi wyrobami z drzewa. Przemysł ten jednak rozwinął się należycie dopiero w połowie w. 18., gdy wojny, które trapiły ludność tamtejszą zostały nareszcie ukończone. Jako założyciele przemysłu zegarmistrzowskiego w Szwarcwaldzie zyskali sławę Szymon Dilliger z Schollach i Franciszek Ketterer z Schönwald. Mechanizm ówczesnych zegarów szwarcwaldzkich był nader prosty; to właśnie było jedną z najgłówniejszych przyczyn rozwoju tego przemysłu domowego we wszystkich dolinach Szwarcwaldu. Zegary te pokazywały tylko godziny i nie posiadały ani mechanizmu bijącego, ani sprężyny spiralnej, która warunkuje równomierność chodzenia. Mimo tego znalazły one szybko wielki pokup, i to zachęciło wytwórców do ulepszenia swych wyrobów, dzięki rozwijającej się konkurencyi.

Wkrótce zaczęto wprowadzać do mechanizmu ulepszenia i nowości. Podział pracy zwiększył ilościowo produkcyę i spowodował ulepszenia w pojedyńczych częściach mechanizmu. Wyrobem zegarów zajmowali się wieśniacy — górale. To trwa jeszcze i dziś, i chociaż rozmiary przemysłu w wielu miejscowościach nadały mu cechy fabryczne, to jednak pozostał on dziś jeszcze w głównych zarysach tem, czem był ongi, to jest przemysłem ściśle domowym.

Pierwotne proste zegary z balansierami ustąpiły wkrótce miejsca zegarom wahadłowym. Najprzód umieszczono krótkie wahadło przed cyferblatem, później już dłuższe, — za nim. Zrazu zegary nakręcać należało co 12 godzin, potem — co 24. Wreszcie zaczęto budować zegary, bijące co $^1/_2$ godziny. Zaczęto wyrabiać zegary z różnemi dowcipnemi urządzeniami, jak np. z figurkami, które zjawiały się, kiedy zegar bił, wreszcie — zegary wskazujące dni, daty... W r. 1750 zaczęto wyrabiać kółka z metalu, zamiast drzewa, wreszcie około r. 1780 pojawiły się zegary, nakręcane co 8 dni. W miarę wprowadzania ulepszeń w mechanizmie, zaczęto dbać o piękniejszy zewnętrzny wygląd wyrobów. Z początku cyferblat był w postaci drewnianego krążka z liczbami; później oblepiano go papierem, pokrywano farbami, wreszcie zaczęto wyrabiać i metalowe cyferblaty emaljowane. Rozmaite modele zegarów nazywano imionami ich wynalazców lub od szczegółów ich urządzeń. Tak naprzykład „kukułkami“ nazywano te zegary, na których podczas bicia ukazywały się kukułki, kukające godzinę. Jak wiadomo, zegary te cieszą się i dziś jeszcze dużem i długotrwałem uznaniem. Z wyrobem tego rodzaju zegarów w ścisłym związku stoi wyrób automatów sprężynowych z poruszającemi się grajkami, okrętami i innych, tym podobnych zabawek.

Przemysł zegarowy powstał i dosięgnął najwyższego rozwoju w okręgach Triberg i Villingen, rowinął się jednak niepoślednie i w okręgach Neustadt, Hornberg i Waldkirch. Według urzędowej statystyki z roku 1847 już wówczas pracowało na tem polu 1568 majstrów, 2566 czeladników, nie licząc kobiet, dzieci i terminatorów. Dziś liczby te wzrosły znacznie, do tego stopnia, iż wyrób dochodzi do miliona sztuk rocznie wartości 10 milionów marek. Rząd wspiera ten przemysł skwapliwie. W Furtwangen założono szkołę zegarmistrzowską, której państwo wypłaca co rok do 17,000 marek zasiłku; to przeniosło punkt ciężkości przemysłu do tej okolicy.

Szkoła zegarmistrzowska uczy wyrobu zegarów ściennych i kieszonkowych i złączona jest ściśle ze szkołą ogólno rzemieślniczą, do której każdy uczeń obowiązany jest uczęszczać. Szkoła ta posiada specyalne urządzenia techniczne, warsztaty i maszyny poruszane wodą, modelarnię, pracownię rzeźby drzewnej, — oddziały tokarskie i kowalskie. Majstrowie mają prawo korzystać z urządzeń techniczych szkoły w najobszerniejszym zakresie. Zdolni artyści dbają o zewnętrzny wygląd zegarów, aby obudzić w uczniach smak estetyczny.

Co do samego wyrobu zegarów, to zajmują się nim różne kategorye rękodzielników. Mamy tu więc stolarzy, którzy odrabiają części drzewne; odlewników, którzy odlewają kółka mosiężne, wskazówki i dzwonki; specyalistów, zajmujących się wyrobem łańcuszków z mosiądzu i żelaza, sprężyn i t. p. — wreszcie zegarmistrzów, którzy to wszystko dopasowują, obrabiają, składają poszczególne części w jeden mechanizm; nakoniec tokarzy i malarzy. W ostat-

nich czasach kółka odlane z metalu ulegają obrobieniu i wygładzaniu przy pomocy specyalnych maszyn przez co odlewnik nie dostarcza już materyału surowego i nieobrobionego. Przez zastosowanie podobnych sztancowych narzędzi cena kółek — a co za tem idzie i zegarów, obniżyła się znakomicie. Zastosowanie ulepszeń w wahadłach, w ich długości i t. p. wpłynęło na zapewnienie regularnego chodu zegarów. Niektóre zegary — wyrobione z wielką starannością noszą miano regulatorów. Chodzą one wybornie i nakręcają się od 2 do 52 tygodni.

W r. 1851 założono w Lenzkirch pierwszą akcyjną fabrykę zegarków. Zegary tej fabryki, odznaczają się bardzo regularnym chodem i w elegancyi zewnętrznego wyglądu nie ustępują nawet piękniejszym francuzkim.

Co się tyczy szkatułek muzycznych, których wyrób związany jest ściśle z wyrobem zegarów, to około roku 1768 Jan Wehrle zbudował pierwszy taką szkatułkę z mechanizmem zegarowym i z dzwonkami.

Wyrób zegarów w Saksonii nie rozwinął się tak pomyślnie jak w Szwarcwaldzie, pomimo usiłowań, jakich w tym kierunku nie szczędziło państwo. Tu na pierwszem miejscu postawić należy szkołę założoną w Glashütte (Deutsche Urmacherschule). Do szkoły tej przyjmowani są ludzie, którzy uprzednio otrzymali już wykształcenie w szkole ludowej i którzy pracowali już praktycznie w tym fachu — co najmniej lat 4. Kurs trwa 3 lata, są jednak 4 klasy. W szkole tej uczą: matematyki, fizyki, mechaniki, teoryi zegarmistrzowstwa, rysunków, buchalteryi, języków francuzkiego i angielskiego. Prócz tego uczniowie bardzo wiele czasu spędzają na zajęciach praktycznych w warsztatach. Cała praca dzienna wraz z temi zajęciami praktycznemi trwa od $6^1/_2$, $7^1/_2$, lub od 8 z rana, do 12 w poł. i od $1^1/_2$ po poł. do 7 wieczorem. Opłata za kurs wynosi 120 m. Wolni słuchacze płacą za pierwsze 6 miesięcy 100 marek, za następne 3 miesiące po 12 marek i potem — po 10 marek miesięcznie. Cudzoziemcy płacą o 20% więcej. *G. R.*



Produkcya cukru.

W „Pester Lloydzie“ pojawiły się zajmujące artykuły ekonomisty Wienera o produkcyi cukru w stanie obecnym i o jej przyszłości. Według ekonomisty tego, ogólna produkcya cukru (trzcinowego i burakowego) w całym świecie dochodzi obecnie do wysokości 10 milionów ton angielskich (tona równa się 1,016 klg.), z czego około $5^1/_2$ mil. ton spożywają same kraje produkujące, a reszta idzie ne wywóz. Głównymi odbiorcami eksportowanego skądinąd cukru są Anglia i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Szczegółowo produkcya i eksport cukru trzcinowego i burakowego przedstawia się, jak następuje:

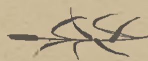
Cukru trzcinowego w kampanii 1896/7 wyprodukowano 6,313,000 ton angiel., a wywieziono ton 2,228,000.

Wykaz cukru burakowego z kampanii 1897/8 roku jest znowu następujący:

	Produkcya w tonach po 100 kilogr.	Wywóz Wartość surow. cukru
Niemcy	1,887.000	1,041,600
Austryo-Węgry . .	821,700	493,500
Rosya	740,000	141,000
Francya	713,000	463,700
Belgia	234.000	179,500
Holandya	125,600	105,400
Szwecya	86,200	—
Dania	30,000	6,200
Hiszpania, Włochy, Rum., Bułgarya itd. .	40,000	—
Stany Zjed. Pół. Am. .	50,000	—
Razem	4,667,800	2,677,900

Jak widzimy, ilościowo produkcya cukru trzcinowego, cukru krajów gorących, stoi znacznie wyżej, aniżeli produkcya cukru strefy umiarkowanej, burakowego. Eksport jednego i drugiego jest prawie równy. Autor artykułu w „Pester Lloydzie objaśnia, że pomiędzy cukrem trzcinowym, a burakowym toczy się już od dawna walka na targach świata — jednakże, pomimo swej ilościowej przewagi, cukier trzcinowy nie stoi wcale wyżej i nie posiada tej handlowej doniosłości, jaką ma przed sobą cukier europejski z buraków.

P. P.



Z praktyki kupieckiej.

W jaki sposób obsługiwać kupujących? Potrzebowałem raz jakiejś drobnostki — opłatków do zalepiania listów, które będąc niegdyś bardzo używanemi, dziś prawie wyszły już z mody. Ponieważ artykuł ten bardzo jest tanim, przeto kupcy wcale się nim nie zajmują. Wszedłem więc do jednego z mniejszych składów papieru i kłaniając się uprzejmie, rzekłem: „Proszę pana, mogę tu dostać opłatków do zalepiania listów?“ Kupiec liczył właśnie karty pocztowe z widokami, nie przerywając swego zajęcia, i gdy nareszcie od 23 doliczył do 50, rzekł krótko: „Nie, ale dostaniesz ich pan w składzie naprzeciwko“. Poszedłem więc za jego wskazówką Był to bardzo wielki i wytworny skład papieru, tak, że się aż zawstydziłem odezwać z mojem skromnem żądaniem. Ale pryncypał sam zapytał mnie z taką uprzejmością, czego sobie życzę, że śmiało już odrzekłem: „Proszę za 5 fen. opłatków“. „Zaraz, natychmiast“, zawołał, i po chwili trzymałem paczkę z tylu opłatkami, że starczą mi chyba na całe życie. I podczas, kiedy mi pryncypał zmieniał pieniądze, zapytał grzecznie, czy nie zechciałbym obejrzeć sobie kilku nowości. Patrzałem na piękne rzeczy, których jednak wcale nie potrzebowałem, gdy właśnie w tej chwili wszedł do składu jakiś pan, żądając koniecznie rozmowy z pryncypałem. „Wybacz pan“, rzekł tenże do mnie, a przywołując jednego z pomocników, dodał: „Pokaż temu panu to i owo“. Oprowadzano mnie więc po całym składzie i rzeczywiście zauważyłem teraz niejeden przedmiot, który mi istotnie był potrzebnym, a że ceny nie były zbyt wysokie, przeto kupiłem kilka artykułów. Może być, że głównie zachęciła mnie do tego niezmierna grzeczność pryncypała i pomocnika. I tak zamiast 5 fen. wydałem 4 mk. i odtąd kupuję wszystko w tym składzie, a że potrzebuję dużo papieru i t. p., przeto kupiec zarabia na mnie dosyć ładną sumę. Wszystko to byłby miał ów pierwszy kupiec, gdyby mi był powiedział, że się wystara o owe opłatki.

Dodaję jeszcze, że podobnie zdarzyło mi się w pewnym składzie towarów modnych. Chciałem kupić drobnostkę, a wydałem znaczną sumę, ale dla tego tylko że sprzedający był natrętnym i nieuczciwym. Tego, co kupiłem, nie mogłem potem wcale potrzebować, towar był lichy i pomimo, że tani, kosztował mnie dużo pieniędzy.

Zdaje mi się, że dzielny i uczciwy kupiec pozna z zestawienia tych faktów, jak mu należy postępować z publicznością i w jaki sposób obsłużyć kupujących, aby zapewnić sobie pomyślny rozwój swego przedsiębiorstwa. *X.*



Kalendarzyk robót na listopad.

Gospodarstwo domowe. W listopadzie trzeba już na seryo myśleć o zaopatrzeniu piwnicy; warzywa i włoszczyznę układać, przesypując obficie suchym piaskiem, kartofle, sypiąc do piwnic, podłożyć staremi deskami, aby nie gniły od ziemi, i jeżeli można, także piaskiem osypywać, ostatecznie zimowe owoce układać na zimowe przechowanie. Kapustę w końcu miesiąca kwasić, wieprze karmniki bić, słoninę solić i mięsiwo urządzać. Ponieważ zbliża się pora, gdzie o baraninę będzie trudniej, więc marynować całą faseczkę ćwiartek grubych na sposób sarny, co się daje przechować do 6-ciu tygodni. Na wsi robota około lnu i konopi. Długie wieczory nadają się do roboty przy świetle lampy, cerowanie, reperacyę wszelkiej bielizny, które powinno mieć miejsce co miesiąc przed miesięcznem praniem, bo źle, jeżeli bielizna niezreperowana się pierze; w tym czasie robi się to ze szczególną dokładnością z powodu braku innej, pilniejszej roboty.

Podczas jesieni i zimy należy podwoić staranność o porządek domowy. Codziennie otwierać lufciki dla przewietrzenia pokoi, a pomimo zamknięcia okien raz na tydzień ściany okurzać, pajęczynę i kurz starannie wilgotnem, wyciśniętem z wody płótnem zbierać z kątów pokoi, z szaf, pieców, framug i t. p., pozostawione bowiem raz, zbierają się w coraz większe kłęby, które następnie nie można wyprowadzić, dopiero na wiosnę przy otwartych oknach; należy więc przyjąć za zasadę, że im ciaśniej i brudniej w jakiem miejscu, tem większą należy dokładać staranność w oczyszczaniu go. Im więcej starania w codziennym i ty-

godniowym porządku, tem łatwiejsze utrzymanie wszystkiego w normalnym stanie. Posadzkę froterowaną codziennie po zamiataniu wycierać grubemi, szorstkiemi płatami.

W ogrodzie i sklepie. 1) Wskazane w przeszłym miesiącu roboty kontynuować podług tego, jak stan pogody pozwala albo wymaga.

2) W sklepach ogrodowiznę w piasku warstwami układać. Rośliny, należące do rodzaju kapusty, usadzać pojedyńczo na słomie — słowem wszystko w sklepie uporządkować i od zepsucia ochraniać.

G. B.

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

Kali jako nawóz. Azot i kwas fosforowy zyskały pewnie ogólne już uznanie, co do kali jednak, to zdaje się panować jeszcze mniemanie, że nadaje się ono wyłącznie na ziemię bagnistą lub piasczystą, nigdy zaś na ziemię gliniastą. A pomimo to wykazały rozmaite badania, że kali i na tęższych ziemiach wyborne wydaje rezultaty, i że dla niektórych roślin koniecznie jest nawet potrzebnem. Rolnicy w Brunszwigu, Anhalcie i prowincyi saskiej używają na ciężkich rolach dużo kainitu i kali w celu zbierania jak najwyższych plonów. W południowych Niemczech nie ma niestety kali takiego odbytu, chociaż należy się spodziewać, że i tam uznają rolnicy wnet wartość tej soli. Dla roślin mączkowych, n. p. kartofli, buraków, owsa i t. p. jest kali niezbędnie potrzebnem.

Hodowla zwierząt.

Żrebięta powinny być już od pierwszych tygodni życia zahartowane. Stajnia, w której żrebię stoi z klaczą, ma być chłodna, temperatura 9—10° Reaum. nic żrebięciu nie szkodzi. Skoro żrebię przyzwyczai się zaraz z początku do takiej temperatury w stajni, to nie zaziębia się później tak łatwo. Szkodliwem natomiast jest żrebięciu stanie w stajni gorącej i niedostatecznie przewietrzanej, gorzej jeszcze w oborze dusznej. Zaziębiają się one potem przy każdej sposobności, jeżeli przeżyją wogóle pierwszy rok. W chłodnej stajni nie trzeba nigdy żrebiąt przywięzywać, gdyż powinny się swobodnie ruszać, gdy im zimno.

Olszyna bardzo jest niebezpiecznem drzewem na miejscach, na których się bydło pasie, ponieważ liście olszowe nadzwyczaj są bydłu szkodliwemi. Są one często prawdziwą trucizną dla bydła, sadzić więc olchy tylko tam, dokąd bydło nie ma przystępu.

Paszenie krów zbyteczną ilością liści buraczanych wpływa o tyle niekorzystnie na masło, że staje się ono zanadto kruchem. Chcąc tego uniknąć, trzeba do liści dodawać otrąb pszenicznych i kuchów.

Drób.

Dobre jaja. Chcąc mieć dobre jaja, mianowicie na sprzedaż, trzeba zachowywać następujące przepisy: 1) wybierać je jak najczęściej z gniazd i nigdy nie zostawiać ich w gniazdach dłużej, jak 1 dzień, ponieważ zbytecznie się rozgrzewają, 2) starać się o czystość gniazd, aby o ile możności uniknąć w nich robactwa, 3) jaja muszą być zupełnie czyste, brudnych nie lubi nikt kupować, 4) przechowywać je w miejscu chłodnem, suchem i przewiewnem, 5) nie pakować ich w materyał wilgotny, najlepiej w sieczkę, 6) wybierać na sprzedaż jaja równe, piękne i wielkie, mniejsze zaś zużyć w domu, w własnem gospodarstwie.

Pszczoły.



Zdrętwiałe pszczoły ożywić. Jeżeli się znajdzie rój cały nieruchomym, a przypuszcza się, że nie wiele czasu jeszcze upłynęło od pozornej tej śmierci to nie trzeba tracić zaraz nadzieji ocalenia pszczół. Z powodu zimna lub głodu popadają pszczoły najpierw w pewien stan odrętwienia, trwający czasem dłużej niż 24 godzin. Wziąść więc natychmiast kilka pszczół i położyć je na ciepłą blachę, a jeżeli się po upływie 4—5 minut zaczną poruszać, to najlepszy dowód, że śmierć była tylko pozorną, i że można mieć nadzieję ocalenia roju. Wstawić czemprędzej ul albo kószkę do ciepłego pokoju, polać ruszające się pszczoły ciepłym miodem, owinąć wygrzaną cegłę papierem, włożyć ją do ula i zamknąć go. Potem dawać aż do zupełnego wyzdrowienia ciepłe pożywienie.

Ryby.

Wapno odgrywa w gospodarstwie rybnem nadzwyczaj ważną rolę. Stare stawy zawierają bardzo wiele wrogów ryb, które to wrogi, pomimo, że małe, bardzo są rybom niebezpieczne. Rozmaite rodzaje chrząszczy wodnych i larwy ich, pożerają ogromne ilości owych maleńkich zwierzątek skorupowych, służących rybom za pokarm. Rzucają się też na młode rybki i pożerają je. Najlepszym na wytępienie ich środkiem jest świeżo gaszone wapno, które nietylko, że zabija szkodników, ale nadto wpływa korzystnie na rozwój karpi i służących im za pożywienie żyjątek skorupowych. Należy więc staw spuścić i tam, gdzie się owe chrząszcze gnieżdżą nasypać dużo wapna. Najlepiej zabrać się do tego na wiosnę lub w późnej jesieni.

Owoc.

Przechowanie jabłek. Amerykanie przechowują jabłka cały rok i to w ten sposób, że układają je w sklepach, mających zawsze równą temperaturę. Owoc nie powinien się dotykać, używają więc do tego półek o kilku horyzontalnych deskach. Deski te są mocno obciągnięte grubem płótnem.

Nowy gatunek malin. „Golden „Queen“ jest to nowy gatunek wybornych żółtych malin, nadających się mianowicie na przesyłki.

Sadów nie otaczać nigdy żywopłotem, ponieważ gnieździ się w nim za wiele ptaków lub innych szkodników. Używać w tym celu zawsze tylko krzaki malinowe, agrestowe lub jeżyny, które są równie gęste a przynoszą pewien zysk.

Warzywo.

Przechowywanie ogórków. Wybrać najpiękniejsze ogórki, uciąć je tuż przy łodydze ale tak, aby kawałek łodygi jeszcze przy ogórku zostało. Potem umyć je starannie, obetrzeć i posmarować białkiem, w końcu, gdy obeschną, powiesić łodygami w miejscu suchem i chłodnem. Tym sposobem można je przechować aż do Bożego Narodzenia.

M. W.

Kołownictwo.



Siodła wązkie, zakończone pałąkowato, są niebezpieczne dla zdrowia, to też lekarze przestrzegają usilnie przed używaniem ich. Tylko siodło zbudowane anatomicznie jest dobrem, wszelkie inne wywierają niezmiernie szkodliwy wpływ na organa wewnętrzne. Tak samo przeciwnemi zdrowiu są kierowniki w kształcie rogów, które zmuszają kołownika do pochyłego trzymania się. Niektórzy zwolennicy tego sportu leżą formalnie na kole, zapominając, że szkodzą takiem trzymaniem się zdrowiu w najokropniejszy sposób. Należy więc starannie unikać wszystkiego, co daje do tego sposobność, w pierwszej zaś linii owych wązkich siodeł i nieodpowiedniego kierownika.

Z.

Z botaniki.

Zioła lecznicze

rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzanie, suszenie i przechowywanie.

Opisał

Tadeusz Śniegocki.

(Ciąg dalszy.)

Pokrzyk wilcza jagoda.
Atropa Belladonna.

Kłącz na palec gruby, mięsisty zewnątrz blado brunatny, wewnątrz brudno biały zawiera w sobie wiele mączki.

Łodyga nadziemna 2 do 3 stóp wysoka gałęzista, koloru purpurowego.

Liście jajowo okrągłe nie dzielone, za młodu koloru zielonego, w jesieni czerwone.

Kwiaty dzbanuszkowate zewnątrz ciemno brunatne, wewnątrz purpurowe, na szypułkach dość długich, zwieszają się z kątów liści.



Atropa Belladonna.

Owocem jest jagoda, trochę z wierzchu spłaszczona, po dojrzeniu lśniąca czarna, pełna soku purpurowego kwaskowatego, obrzydliwego smaku.

Rośnie w lasach na miejscach górzystych i skalistych, kwitnie w Czerwcu, dojrzewa w jesieni.

Korzeń i jagody zawierają niebezpieczną truciznę, sprawiającą rozpalenie ust, gardła, żołądka i wnętrzności. Otruty utraca apetyt, ma wzrok bardzo osłabiony, dostaje zawrotu, nudności, poczem

przychodzi szaleństwo, ślepota i jeżeli nie było szybkiego ratunku, kończy się wszystko nagłą śmiercią.

Spostrzegłszy otrucie posłać coprędzej po lekarza, a nim tenże przybędzie, dać na womity, potem ocet, serwatkę, kwaśne wino i t. p.

Korzenie świeżo wykopane i dojrzałe jagody odstawiać do aptek, zachowując wszelkie środki ostrożności, aby się kto w domu lub też w drodze do apteki nie otruł.

Pokrzywa głucha biała.
Jasnota biała.
Lamium album.

Kwiaty paszczękowate białe z czarnemi plamkami wewnątrz paszczy umieszczone są w okrążkach na łodydze w kątach liści.

Liście na ogonkach sercowate ostro zakończone.

Rośnie nad drogami pod płotami i budynkami, a zawsze na dobrej, zyznej ziemi.

Kwitnie od Maja do jesieni.

Sprzątać, wyrywając dobrze rozkwitłe już kwiatki z pochewek kielichowych w czasie suchym i zupełnie pogodnym, ostrożnie, aby nie zgnieść i suszyć troskliwie na czystem płótnie lub papierze i w pudełkach drewnianych lub papierowych przechowywać w suchem miejscu.

Za kwiat dobrze ususzony biały, i niepognieciony, płacą w aptekach wysokie ceny, zżółkłego, zczerniałego i pognieciongo przyjmować nie chcą.

Hodować można rozsadzając kawałki łodygi podziemnej, na ziemi piaszczysto próchnicowatej w wysokiej kulturze będącej, w rządki przynajmniej na $1\frac{1}{2}$ stopy od siebie odległe, aby promienie słoneczne wszędzie wolny miały pomiędzy rośliny przystęp. Rolę pomiędzy rządkami raz poraz opleć i motyką wzruszyć, a strzedz mianowicie, aby perz nie mógł się pomiędzy roślinami rozpanoszyć.

Przestęp zwyczajny.
Bryonia alba.
Vitis alba.

Korzeń trwały, głąbiasty, dorastający wielkości pięści, zewnątrz popielaty, brunatny lub czarny, wewnątrz mączysty biały, o smaku i zapachu obrzydliwym.

Łodyga a raczej wić bardzo długa, soczysta, zielona, pnie się wysoko na płoty, drzewa i mury, jest gęsto porosła liśćmi dłoniastemi, kosmatemi na obu stronach.



Bryonia alba.

Kwiaty biało żółte, w gronka ułożone.

Owocem jagody okrągłe w początku zielone, po dojrzeniu czerwone, a czasami czarne.

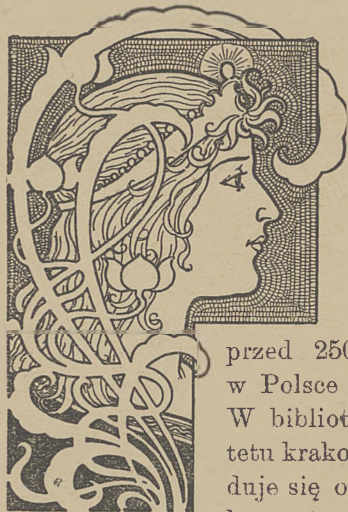
Korzeń, dopóki świeży, ma w sobie wielką ostrość, ususzony, traci wiele ostrości i własności szkodliwych. Świeży w jesieni wykopany kupują w aptekach.

Zażyty sprawia mdłości, zawroty głowy i zmysły odbiera.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dział kobiecy.

Emancypacya kobieca w XVII wieku.



Reprezentantki praw kobiecych mylą się, sądząc, że dopiero wiek XIX emancypacyą kobiet się zajmował. Już przed 250 laty znano w Polsce ruch kobiecy. W bibliotece uniwersytetu krakowskiego znajduje się oryginalny dokument z wieku XVII p. t.: „Artykuły dziewic“, w których panie i panny wysokiemu sejmowi, przez króla Władysława IV zwołanemu, swoje życzenia składają. Pismo powyższe zawiera 25 żądań, z których każde jest w wysokim stopniu interesujące. I tak artykuł I brzmi:

Zważywszy, iż ogólnym stało się zwyczajem, iż panowie kawalerowie na swoje konkury za wiele potrzebują czasu, a nam z ostatecznym ślubem za długo dają czekać, przedstawicielki nasze powinny się starać o to, aby termin konkurów skrócić i dzień ślubu najpóźniej na miesiąc czerwiec każdego roku oznaczyć.

Artykuł II. Dla kawalerów, którzy w zapusty o pannę się starają, a do czerwca jeszcze się z nią nie ożenią, ustanawia się karę pieniężną w wysokości 1000 złotych polskich płatnych do kasy dla osierociałych dziewcząt polskich.

Artykuł III żąda zakazu i karania ślubów dla pieniędzy i domaga się prawa wolnego wyboru męża. Żadnemu ojcu nie wolno zmuszać córki do małżeństwa bez miłości.

Artykuł VI. Ze względu na to, że wielu panów kawalerów życie familijne zaniedbuje i starymi zostaje kawalerami, jest koniecznością wyznaczyć w każdym obwodzie przynajmniej cztery razy do roku pewne terminy w oznaczonem miejscu do wspólnego zebrania panien i kawalerów, aby się podług skłonności serca wzajemnie poznać mogli. Który z kawalerów bez powodu się nie stawi, jako człowiek niehonorowy będzie uważany.

Artykuł X. Ponieważ wdowy pomimo utraty jednego, lub kilku mężów, starają się zwabiać pieszczochów materyalnych, życzymy sobie, ażeby wdowom po skończonym 40 roku życia, pod utratą honoru zakazano zawierać małżeństwa i zwłaszcza z tego powodu, że takie wdowy z różańcem w ręku i przy kołowrotku dni swych końca oczekiwać powinny.

Artykuł XIII ujmuje się za „brzydkiemi“, żądając zwolnienia od cła wszelkich przyborów kosmetycznych, gdyż nie każda panna może się poszczycić olśniewającą pięknością i dla tego mniej pod tym względem od natury uposażonym nie wzbrania się podniesienia wdzięków.

Artykuł XIV prosi o prawo, ażeby każdy młodzieniec najpóźniej w 30 roku do ożenienia był zmuszony.

Koroną jednak wszystkich artykułów są artykuły XVIII i XIX. W artykule XVIII wzywa się wysoki sejm, aby starał się o to, iżby tylko ludzie z równymi charakterami się złączyli a więc zły mężczyzna tylko ze złą panną i t. d. Artykuł XIX prosi jak najuniżeniej, ażeby do służby wojskowej odtąd tylko takich używano mężczyzn, którzy najmniejszej nie posiadają energii i są od natury upośledzeni, a więc na mężów niezdatni.

Czy wysoki sejm wszystkie te życzenia uwzględnił i czy panowie kawalerowie potem się naprawili, o tem historya niestety milczy. *T. P.*

Dla naszych pań.

Jesień w ciągłej niepewności nas trzyma, to słońcem popieści — to zimnym wiatrem podmucha i nasze panie nie wiedzą czy już na dobre w futerka się ubrać, czy jeszcze letnie nosić palta?

Kwestya okryć w tej chwili — to kwestya tak ważna — jak poruszenie Boerów dla Anglii! Wszystkie zręczne żakiety obcisłe, wcinane do figury — pochowały się — pewnie w czeluście ciemne szaf — czekając znów na pomyślniejszą godzinę, gdyż niepodobna się zdaje, iżby kaprys obecny mody, miał trwać długo. Na razie panie wsunęły się w te worki długie, obcisłe, — bo nowe, ale sprzykrzy się im to pewnie nie długo, bo są bez szyku zupełnie. Kolor tych płaszczy, ogólnie noszonych, perłowy, popielaty, piaskowy — wszystkie te sukna — powycinane w zęby, oszyte falbaną, czasem bogatym przybrane haftem. Jeżeli sięgają do ziemi, mają po bokach rozporki, umożliwiające noszenie sukni w ręku. Peleryny także długie tylko modne, z kołnierzem wyso

kim Medicis, który więcej dziś w użyciu niż kiedykolwiek. Na codzienne praktyczne wyjścia — dużo się widzi peleryn w kratę — z wysokim kołnierzem, ciepłe i wygodne. Jakie zima odmiany przyniesie, trudno przewidzieć, ale niezawodnie dla sukien modnych płaskich i futra będą bez fałd z tyłu, wązkie, długie jak żakiety jesienne — przypominające męzkie palta. Do tych okryć zamiast opatrzonego i zbyt już rozpowszechnionego boa, panie noszą całe zwierzątka, szerokie i długie, zwane „cravate russe“, głowa, łapy i ogon np. tybetańskiej kozy, lub „cravate siamoise“-z królików lapońskich, popielatoszare.

Do najwięcej noszonych we Francyi okryć należy także bolero; bądź co bądź Francuzka zawsze wybiera wśród wszystkiego co modne, to w czem zręcznie wyglądać musi. To też bolero latem bardzo noszone, przenosi się i na zimę, robią je tylko z cieplejszych materyałów z aksamitu, pluszu — oszyte sobolami lub srebrnemi lisami. Z przodu, gdy niema futra, zdobią dwie wyłogi „directoire“ przybrane atłasem białym, lub też klapy wązkim fularkiem oszyte. Przody takiego bolera są zazwyczaj trochę dłuższe. Kołnierz wysoki, podniesiony w górę. Robią też bolera w kolorze sukni do całych kostiumów.

Z materyałów na jesienne i zimowe suknie, stale utrzymuje się sukno miękkie, jedwabiste „drap de satin“. Kolory są ciemne lub jasne, w każdym razie wyraźne, te „demi-tons“, wyszły z użycia, mamy za to modny popielaty „gris zinc“, bronzowy „cigare“, niebieski „bleu capote“.

Kostiumy sukienne od dołu wycinają się w desenie ażurowe — stylowe, podkład zazwyczaj od spodu jedwabny, w tym samym co suknia lub odmiennym kolorze; — ten sam garnitur powtarza się na staniku.

Suknie angielskie „genre tailleur“ dobrze przedewszystkiem leżące, lecz skromne, krawieckiej najczęściej roboty, mają od spodu płócienne szemizetki, białe lub w innych kolorach, czasem i z muszlinu, do tego krawaty — męzkie, lub, jak piszą nam, krawaty wiązane z materyi i oszyte frendzelką.

Frendzle należą wogóle do nowości sezonowych — oszywają niemi płaszcze, stroją suknie i zaczynają kłaść nawet na kapelusze.

Kapelusz duży filcowy — torreador, otoczony był szeroką wstążką, której końce spadały na lewy bok i ucho, — oszyte jedwabną lub sznelową frendzlą.

Kapelusze na sezon obecny są duże okrągłe, denka u jednych płaskie u drugich szerokie i wysokie. Wogóle najwięcej noszone z wielkim rondem od przodu, wykrajane w tyle w spiczasty ząb, niektóre panie noszą do nich aksamitki wiązane pod brodę — lub muszlin jedwabny. *W.*

Kobieta, jako — środek karny.

Każda młoda dziewczyna w królestwie Siamskiem, może zostać, jeżeli sobie tego życzy, „wpisaną“ urzędownie i należy odtąd do „związku dziewic państwowych“, t. j. musi się zgodzić na wszystko, czego panujący zażąda. Ale w tym razie król sam stara się o męża dla niej. Dla biednego męża jest takie małżeństwo urzędownie wyznaczoną karą. Poddani Chulalongkornusu, którzy mają nieszczęście popełnienia jakiego karygodnego czynu, nie bywają, tak jak Europejczycy, skazani na zapłacenie, lub na więzienie, tylko są zmuszeni do wzięcia jednej albo kilku żon, i to z pomiędzy owych „dziewic państwowych“. Jeżeli chodzi o jakie drobne przewinienie, w takim razie ma skazany prawo wyboru, w przeciwnym zaś razie muszą się ożenić z temi, które im rząd wyznacza. — Wskutek takiego „rozsądnego i chwalebnego“ zwyczaju nie ma w państwie Chulalongkornus ani jednej młodej dziewczyny, czy ładnej, czy brzydkiej, którąby nie miała nadziei dostania się pod czepek. *C.*



Wychowanie dzieci.

Dziecko w pierwszym roku życia. Jakie trudności sprawia pielęgnowanie, a mianowicie żywienie niemowlęcia, o tem wie zapewne nietylko każda matka, ale i każda kobieta, jest to bowiem temat, który nigdy dosyć poruszanym być nie może. Jeżeli dziecko jest karmione butelką, to przedewszystkiem trzeba przestrzegać jak największą czystość. Najlepszą jest butelka z białego szkła i korek z czarnej gumy, butelki o długich gumowych wężach i szarych korkach nie są dobre. Węży nie można dosyć starannie czyścić, szare korki zaś zawierają trochę ołowiu, co dla dziecka łatwo może się stać niebezpiecznem. Pozostałe w butelce resztki mleka wylać natychmiast i nigdy ich nie chować aż do przyszłego razu, butelkę, oraz wszelkie naczynia, w jakich się mleko grzało, wymyć zaraz, napełnić czystą zimną wodą i zostawić je tak, dopóki ich się znowu nie użyje. Korek po każdorazowem użyciu przewrócić na lewą stronę, wytrzeć dobrze i włożyć również w zimną wodę. Dobrze jest mieć kilka butelek i kilka korków na zmianę. W pierwszych trzech miesiącach nie dawać dziecku żadnych sztucznych pokarmów, jeżeli dziecku mleko nie służy, to kupować je gdzieindziej, a w danym razie zapytać lekarza. Jeżeli niemowlę choruje na niestrawność, womity i t. p., a lekarza nie ma na zawołanie, wtedy dawać kleik owsiany ryżowy, albo jęczmienny, wystrzegać się zaś pilnie wszelkich szkodliwych, a niestety często używanych środków, jak np. makówek itp. trucizn dla organizmu dziecka.

Pielęgnowanie zdrowia.

Szkodliwy wpływ tytuniu na oczy. Ogólnie istnieje przekonanie, że jedynie dym tabaki wywiera szkodliwy wpływ na oczy, i że zażywanie tabaki jest zdrowe oczom. Ale tak rzeczywiście nie jest. Zażywanie tabaki wywołuje często czerwoność i łzawienie się oczu, o wiele jednak szkodliwszem jest palenie nadmierne cygar i papierosów. Nikotyna szkodzi tak samo, jak alkohol, z tą tylko różnicą, że działa wolniej, i że zwykle dopiero lekarz odkrywa jej złe skutki. Brak apetytu, niespokojny, często przerywany sen, utrata pamięci, drżenie rąk, to są pierwsze objawy zatrucia nikotyną, potem następuje wielka słabość wzroku. Nie wynika z tego, aby nikt już nie miał palić, ale trzeba się w każdym razie wystrzegać wszelkiego pod tym względem nadużywania.

Kąpać oczy należy po każdej męczącej wzrok pracy, a więc po czytaniu, pisaniu, szyciu i t. p. W tym celu zanurzyć twarz aż pod skronie w zimnej, świeżej wodzie, na 10—20 sekund i nie zaciskać powiek. Twarz można potem osuszyć, oczu jednak nie. Kąpiel taka wzmacnia wzrok niezmiernie.

Przepisy domowe.

Przechowanie włoskich orzechów. Włoskie orzechy są najsmaczniejsze, jeżeli można ociągnąć z nich jeszcze cienką, żółtą skórkę, która zwykle jest trochę gorzką. Zebrać więc dojrzałe orzechy, będące jeszcze w zielonej łupinie, zapakować je razem z łupiną tą w pudło, pełne suchego piasku i postawić je w sklepie. Na Boże Narodzenie wyjąć orzechy z piasku, wyrzucić zieloną łupinę i oszczotkować orzechy, które są tak świeże, jak gdyby prosto z drzewa były zerwane.

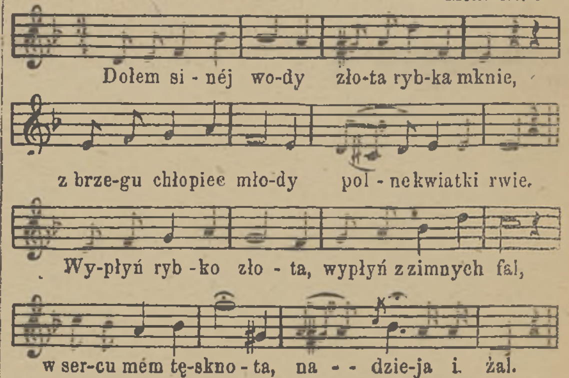
Emaliowane garnki i t. p. zczerniałe, można wyczyścić tak, aby nie uszkodzić glazury. W tym celu włożyć garnek na pewien czas w rozczyn potażu, chlorkalku i wapna i postawić na ciepłym piecu.

Rdza na stali. Natrzeć przedmioty stalowe oliwą i zostawić je tak przez 48 godzin, potem wytrzeć dobrze proszkowanem, niegaszonem wapnem. Plamy rdzy znikną.

D.

Dział muzyczny.

Złota rybka.





Album „Pracy“. Malował Jan Styka. Drukiem „Pracy“.

Święcenie broni.

Znowu wołamy: „On się przebłagał,
Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!“
I znów powstajem w ufności szczersi.

 **10 tysięcy abonentów.** 

Nr. 46. — *Poznań, Niedziela 12-go Listopada 1899.* — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Ohydny czyn.

Niepojęta złość ludzka, żądza zemsty niczem nieuzasadniona i widoczna chęć podkopania bytu współobywatela i rodaka, spowodowały ciekawy proces, jaki się rozegrał w piątek, dnia 3-go b. m. w drugiej izbie karnej tutejszego sądu.

Jak wiadomo, tygodnik nasz drukował się przez czas dłuższy w drukarni p. Krzyżankiewicza, rozwój pisma wszakże i ogromny przyrost abonentów w ciągu roku zeszłego nakazywał założenie drukarni własnej, urządzonej odpowiednio do najnowszych zdobyczy techniki i mogącej sprostać wszelkim postulatom rozrastającego się wydawnictwa.

Z tą samą chwilą zaś, gdy projekt nowej drukarni zbliżał się do urzeczywistnienia, p. Krzyżankiewicz, konkurencyjną zemstą powodowany, odgrażać się począł, że postara się o to, ażeby nowa drukarnia padła, wydawnictwo „Pracy“ zmarniało i aby jego założyciel dostał się trybem prasowego procesu do więzienia. Żądza zemsty p. K. nie doznała wprawdzie zaspokojenia, sprawiła wszakże, iż p. Biedermann istotnie zasiadł na ławie oskarżonych. Stało się to w sposób następujący: Przed rokiem mniej więcej zamieściła „Praca“ w swoich łamach wiersz patryotyczny pod tytułem: „Do młodzieży,“ za który prokuratorya wytoczyła proces ówczesnemu redaktorowi jej odpowiedzialnemu, p. Lipińskiemu i skazała go na trzymiesięczne więzienie. W chwili, gdy tenże p. Lipiński większą część swej kary już przecierpiał, zadenuncyował p. Krzyżankiewicz pana Biedermanna, iż to on, nie zaś redaktor p. Lipiński, wiersz do drukarni przyniósł i koniecznie drukować go kazał, że więc jego także należy pociągnąć do odpowiedzialności. Na podstawie tejże denuncyacyi wdrożono przeciwko panu Biedermannowi postępowanie karne, zapozwano świadków licznych i wezwano także p. Krzyżankiewicza.

Proces rozpoczął się o godzinie 9-tej rano pod przewodnictwem p. radzcy Rähmischa. Prokuratoryą zastępował p. von Scheven, obrony tak trudnej zazwyczaj w procesach prasowych podjął się znany chlubnie p. mecenas Bernard Chrzanowski. Po odczytaniu aktu oskarżenia, a następnie inkryminowanego utworu poetyckiego i po wysłuchaniu odpowiedzi naszego wydawcy na akt oskarżenia, świadczącej o niezwykłej przytomności umysłu, przystąpiono do przesłuchiwania świadków. Już zeznanie pierwszego z nich, p. redaktora Królikowskiego, rzuciło niefortunne światło na stan duchowy sprawcy denuncyacyi. Ze słów świadka tego wynikało, iż p. Krzyżankiewicz chorobliwym jest malkontentem, że jest niezadowolonym z całego świata i że żądza zemsty nienormalna, nieokiełznana prostym rozsądkiem, parła go do nikczemnej denuncyacyi. Zeznania następnych świadków, z wyjątkiem p. Dąbkowskiego a mianowicie p. Gorzelańczyka, który jako gorliwy wyznawca zasad p. Krzyżankiewicza — sam także już denuncyował pana Biedermanna i p. dr. Rakowskiego — i był w porozumieniu z p. Krzyżankiewiczem, potwierdzały przypuszczenie, iż cały niegodny postępek p. Krzyżankiewicza oparty tylko na świadectwie powyżej wymienionych dwóch świadków — był aktem błahej zemsty, a jednocześnie czynem człowieka, znajdującego się na pochyłej drodze. — —

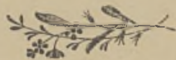
Jeśli już to było ciężką moralną karą dla denuncyanta, to jeszcze cięższą była jego porażka, gdy mu następnie liczni świadkowie przed sądem i publicznością, tłumnie zgromadzoną, w oczy miotali zarzuty, że duchowieństwo, że najwyższego dostojnika archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, że nawet kościół

sam szpetnemi, ba plugawemi słowy zohydzał, a znieważaniem największych świętości udowodniał albo niepoczytelności swej, albo też moralnego swego upadku. Gdy nadto p. Krzyżankiewicz sam się wikłał i zbijał w swoich zeznaniach i wiarogodność swą zupełnie ubezpodstawniał, wtedy już dopełnioną była miara jego niepowodzenia, a pozostał na zawsze wstyd i hańba denuncyacyi prasowo-politycznej, a w dodatku fałszywej. Sędziowie, a osobliwie przewodniczący p. Rähmisch, którzy z początku szczegółowo badali i przetrząsali przedmiot denuncyacyi, następnie zmienili swoje zdanie, z widocznem niedowierzaniem wysłuchiwali bałamutnych i mętnych oskarżeń, a w końcu, stwierdziwszy bezpodstawność denuncyacyi, po bardzo krótkiej konferencyi zawyrokowali uwolnienie p. Biedermanna, o co nawet sam prokurator wobec niespodziewanego przebiegu wniósł w ostatecznem swem przemówieniu. Ta prosta sprawiedliwość, zadokumentowana pod koniec przeszło trzygodzinnego procesu w postępowaniu sędziów, surowo sądzących zazwyczaj przestępstwa prasowe, w dziwnym była kontrascie do poniżenia się człowieka, który nawet przed fałszywem denuncyowaniem rodaka przy znanych, tak bardzo trudnych politycznych warunkach się nie wzdrygnął.

O ile wynik procesu ogólne wśród obecnych wzbudził zadowolenie, o tyle żałowali niektórzy, iż nie usłyszeli świetnie przygotowanego plaidoyer obrońcy i pięknych jego myśli. Obrony bowiem dokonał już dziwnym zbiegiem okoliczności ten, który najmniej jej pragnął, t. j. p. Krzyżankiewicz, zdemaskowaniem samego siebie.

Dzieląc się z Czytelnikami naszymi zwięzłem streszczeniem procesu, nie możemy przemilczeć ubolewania naszego nad tem, że w łonie narodu, walczącego mozolnie o swój byt, pasującego się z największemi trudnościami politycznemi, łamiącego się pod brzemieniem klęsk ustawicznych, pojawiają się jednostki z piętnem denuncyacyi i zdrady na czole. Na widok taki dusza narodu doznaje strasznego upokorzenia, bo ta dusza pragnie, ażeby przynajmniej braterska miłość i wierność łączyła te pierwiastki nasze polskie, które szowiniści niemieccy rozproszyćby pragnęli, bo ta dusza pragnie, ażeby czystą i niesplamioną była szata żałobna narodu, która od stu lat już przeszło zakrywa serce żalu i bólu pełne, ale zawsze równo gorące. Ileż to pracy duchownej i moralnej wśród nas potrzeba, ażeby takie fakty kreciej roboty, fakty bezczeszczenia narodowego były u nas niemożliwemi?

Redakcya.



U kresu cierpień...

Pisma niedawno temu umieściły lakoniczną notatkę ze Lwowa tej treści; *Dnia 13 b. m. o godzinie 7 wieczorem podczas nieobecności rodziny w domu odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru jeden z najstarszych literatów i dziennikarzy, Teofil Szumski.*

Tak brzmiała sucha i krótka notatka, a mało kto się domyślał, jak straszna, łzawa i bolesna tragedya cierpień ukrywała się w tych słowach; mało kto wiedział, że śmierć gwałtowna przecięła życie człowieka zasłużonego, który walcząc przez szereg lat z przeciwnościami losu, siły wyczerpał i złożył broń przed silniejszym od siebie przeciwnikiem: nędzą, witając śmierć, jako ostatnie dobrodziejstwo, jako ostatni uśmiech losu na ponurem tle złamanego życia, jako wybawicielkę od cierpień...

Teofil Szumski, urodzony w r. 1839 w Galicyi, ukończył szkoły gimnazyalne w Brzezanach, potem uczęszczał na kursa w uniwersytecie lwowskim. Później swe studya literackie odbywał na uniwersytecie kijowskim. Nawałnica polityczna 1863 roku wytrąciła go z przedsięwziętej kolei życia. Był czynnym w powstaniu, otrzymał postrzał w nogę, na pobojowisku przez 12 godzin leżał bezwładny zanim go odnaleziono pomiędzy trupami i bezwładnego odwieziono do szpitala. Po powstaniu przebywał we Lwowie. Widzimy go w r. 1865 w „Gazecie Narodowej“. Zaczęło mu się uśmiechać szczęście, bo jego giętkie pióro pożądanym go czyniło współpracownikiem w każdej redakcyi. Lat kilka spędził w Warszawie, którą jednak opuścić musiał widziany źle przez rząd rosyjski. Zajął potem stanowisko przy „Gazecie Lwowskiej“ i po latach 12 pracy w tem piśmie wskutek dziwnej intrygi politycznej, w którą był niewinnie wplątany, opuścić musiał stanowisko. Chciał utrzymywać się z dorywczych prac literackich, pomny swych powodzeń dawnych na polu powieściopisarskiem i poetyckiem, lecz pióro jego już nie posiadało młodzieńczej werwy i ognia. Przyszli młodsi, z nimi walka była coraz trudniejsza dla steranego żywota; przyjął wreszcie, na rok przed śmiercią, miejsce w „Stowarzyszeniu ślusarzy i rusznikarzy lwowskich“, miejsce — dla chleba. Zadużo miał, aby umrzeć, zamało zaś, aby żyć wraz z rodziną — więc się przez rok mordował, rzucał jak ryba w sieci, chcąc los zwalczyć, chcąc się utrzymać na powierzchni...

Lecz sił zabrakło. Za ciężkie było życie. Tragedyi nie mógł rozegrać do końca — poddał się i przyspieszył epilog kulą rewolweru.

Wiadomość ta wstrząsnęła do głębi wszystkimi, którzy go bliżej znali i którzy czcili w nim czysty jak łza i nieskazitelny charakter, zalety rzadkie w dzisiajszych czasach. Prawy, uczynny, dobry ojciec rodziny, gotów zawsze do niesienia pomocy potrzebującym, nie znalazł sam nigdzie ratunku, nigdzie oparcia, gdy go bieda cisnęła. A pomimo to, nie wybiegła z ust jego skarga na los i życie, umiał cierpieć — milcząc, aż wreszcie sił zabrakło.

Przed śmiercią napisał list do rodziny — list, który w kilku ustępach przytaczamy, a który go charakteryzuje jako człowieka i jako jednostkę, której społeczeństwo pozwoliło formalnie zatruć się wewnętrzną goryczą, obojętnie spoglądając na niewysławione cierpienia.

„Ratowałem ja nieraz — pisze zmarły w liście do żony — ludzi bliskich i dalekich z poświęceniem własnych potrzeb. Mnie nikt poratować nie chciał. Nie po to to mówię, abym się starał tem uniewinnić, tylko dla stwierdzenia, że dzisiajsi ludzie, syci i przesyceni, gorsi są od psów niegłodnych.

„Ale narzekanie w chwili ostatniej na nic się nie przyda, nikomu nie posłuży za przestrogę...

„Wskutek wewnętrznej rozterki, a zewnętrznej targaniny i życia z dnia na dzień nie byłem w stanie wykonać ani jednego pomysłu. Zawsze mi się atoli zdawało, że jeszcze przezwyciężę trudności i będę mógł choćby przy najskromniejszem utrzymaniu, pracować w swoim zawodzie. Od lat więcej jak ośmiu nie mogłem znaleść nigdzie pracy dziennikarskiej. Poco jednak te wspomnienia? Przyszły same, a niepotrzebnie.

„Mniej miłujący pozostawiają swoim dzieciom przynajmniej chleb powszedni

Żem tego nie był w stanie uskutecznić, przeklinać mnie nie będziecie.

„Ja również bez złorzeczeń opuszczam ten świat. Nie jest on dobrym i dobrym prędko nie będzie.

„Muszę jeszcze raz wrócić do siebie i o sobie mówić. Kto bowiem ostatni raz mówi, temu wolno zapomnieć o całym świecie. Przez całe życie nikogo nie skrzywdziłem, wolałem raczej być skrzywdzonym, niż czynić tak, aby inni przezemnie cierpieli. Zniosłem i takie krzywdy, po których zostają rany i ból w sercu aż do śmierci.

„Nie posądzaj mnie, że mi lekko przyszło oswoić się z myślą, że pozostawiam Ciebie i dzieci bez sposobu życia. Ta myśl sroższa była od śmierci. Serce się targało w kawały, gdy myślałem o tem, więc też do ostatniej chwili szukałem ratunku“.

Szukał ratunku, szukał rozpaczliwie — i nie znalazł! O, jak pogardy godnym jest świat w swej egoistycznej obojętności? Dać z głodu umrzeć człowiekowi nietylko zasłużonemu, ale mogącemu jeszcze się przydać na coś — wciskać mu gwałtem prawie broń morderczą w rękę, kazać mu umierać z takim rozpaczliwym spokojem i świadomością, że wyjścia i ratunku niema — to dopiero bólów ból!

Dziś ta prawa i szlachetna jednostka zamknęła rachunki życiowe. Bóg przebaczy samobójcy, ale społeczeństwu nie przebaczy. U kresu cierpień stanął jeden, biedny człowiek, którego barki za słabe były, aby znieść ogrom cierpień, które go przygniatały — ale *ilu takich* jeszcze jest może wśród społeczeństwa naszego, co borykają się bezowocnie z nędzą i w walce wszyscy tak samo uledz mogą, jak uległ Szumski? Nie czekajmy, aż sumienie społeczne obudzi się pod brzemieniem takiego zarzutu, jaki się zawiera w rezygnacyi z życia nowej jeszcze jakiej jednostki, lecz spieszmy z pomocą, bo niejedną łzę nieznaną, niejedną dłoń w morderczym zamiarze ku skroni powstrzymać możemy przyjazną dłonią i ratunkiem. Panowie dziennikarze i wydawcy z pod zaboru pruskiego! Czy długo na szpaltach pism pokutować ma jeszcze — nie urzeczywistniona — myśl utworzenia jakiegoś Towarzystwa? Czy może doczekać się mamy chwili, kiedy wśród naszych stosunków zajdzie fakt podobny lwowskiemu? — Wśród piszących pod zaborem pruskim powinien się znaleść człowiek, który by szukał w tem swej chluby i słusznej chluby, aby doprowadzić do skutku wznawianą tylekrotnie myśl utworzenia Stowarzyszenia dziennikarzy polskich pod zaborem pruskim. Niech niczyje łzy gorzkie, niech niczyja skarga nie będzie pobudką do wcielenia tej myśli, bo ciężkim kamieniem winy spada na wszystkich czyn rozpaczliwy człowieka, który sam stanął „u kresu cierpień“, a odpowiedzialność pozostawia za to społeczeństwu. *Vester.*



Wrażenia z procesu galicyjskiej Kasy oszczędności we Lwowie.

Proces dobiega kresu. Przeszło od miesiąca odbywają się codziennie posiedzenia od rana do zmroku. Kto często, tak jak piszący te słowa, przychodził do sali rozpraw i patrzał na odkrywające się przed okiem widza tajniki życia prywatnego jednostek i zakulisowe sprężyny życia publicznego całego społeczeństwa, ten mimowoli pozbyć się musiał poczucia, że jest świadkiem jakiegoś procesu, a nabrać przeświadczenia, że odgrywa się przed nim wielka jakaś tragedya, w której ludzie sądzeni i ludzie sądzący są tylko pionkami poruszanemi przez jakieś potężne a nieuchwytne siły. Każdy odczuwa całą grozę fatalizmu życiowego. Widzimy zasiadającego na ławie oskarżonych Stanisława Szczepanowskiego, idealistę, marzącego niegdyś o stworzeniu całych nowych gałęzi przemysłu i mającego w swej inteligentnej głowie środki potemu; — finansistę i polityka, którego głos miał najwięcej znaczenia na arenie parlamentarnej, gdy chodziło o budżety całej monarchii; — człowieka, który miał w ręku tekę ministra, gdyby ją był chciał dostać, który kilkakrotnie dochodził do milionów, a zawsze wychodził z afery biednym — a na tej samej ławie oskarżonych Malcię Furman, osobistość należącą do najgorszych mętów, do najbrudniejszych szumowin społeczeństwa, wydobytą na światło dzienne z tych sfer, którym już sam rodzaj ich procederu w ciemnościach kryć się każe. I przesuwają się przed oczyma widza, jak w kalejdoskopie, te rozmaite, a tak różne od siebie epizody to z życia, którego pasmo zdawało się zrazu przetykane złotemi blaskami słońca, a potem uwite z cierni, ale zawsze idealne, zawsze w wyżynach zawrotnych błądzące, to znów epizody z życia szarej nędzy społecznej, zaczerpnięte z odmętów jakichś, dokąd promień światła nigdy nie dochodzi. A wszystkie te epizody tak dziwnie splecione i powikłane, tak wprzągnięte w jeden epizod, który wstrząsnął całym krajem i głośnem echem odezwał się daleko poza jego granicami, w epizod wykrycia fałszerstw w Kasie Oszczędności — że zdaje się chwilami, iż życie dziwną a okrutną sobie igraszkę uczyniło z tych ludzi, choćby na jednę sekundę pod jeden ich biorąc strychulec.

Zeznania Szczepanowskiego robią wrażenie, jakiego się nie zapomina w życiu. Jest to jakby spowiedź publiczna, jakby wyznanie niemocy, wygłoszone przez usta, które po raz pierwszy niemożność czegoś przyznają, jest to jakby generalny obrachunek z życia, czyniony przez konającego — obrachunek, w którego toku odzywa się od czasu do czasu coś jakby z głębi duszy wydarte łkanie „*pater peccavi*“. — Historya tytanicznych wysiłków, marzeń niezrealizowanych, historya lotu do słońca i upadku na bruku.

Szczepanowski wzbudza współczucie, a to tem większe, im jaśniej się zarysowuje jego położenie wobec procesu wytoczonego Zimie. Zima, jako naczelny i wszechwładny dyrektor Kasy Oszczędności, dostarczał Szczepanowskiemu olbrzymich sum na prowadzenie spekulacyi naftowych i węglowych, sum, które na niepewne losy puszczane być nie powinny i nie mogły, jako grosz publiczny. Zima pokrywał te pożyczki za pomocą fałszowań w księgach kasowych. Rozwinął cały system fałszywych książkowań i wybrnąć z nich mógł by tylko w tym razie, gdyby spekulacye Szczepanowskiego były się powiodły. Lecz niepowodzenie, niesumienność ludzi mu podwładnych ścigają go na każdym kroku. Sądy wdrażają śledztwo przeciw Zimie. Szczepanowski ma występować jako świadek przeciw temu, kto mu dawał nieograniczone pożyczki. Ma go obciążać zaprzysiężonemi zeznaniami. Tu rozpoczyna się fatalizm sytuacyi. Szczepanowski nie może świadczyć przeciw temu, kogo uważał za przyjaciela. Stawia wniosek o oskarżenie przeciw samemu sobie, aby zasiąść na tej samej ławie oskarżonych co i Zima. — W śledztwie bierze na siebie rozmaite zarzuty, jakkolwiek winnym istotnie nie jest. Zima w więzieniu umiera — Szczepanowski dopiero przed sądem odkrywa powody swego postępowania.

Rozprawa wykazuje szereg fał-

szerstw popełnianych przez Zimę, fałszerstw zupełnie innego rodzaju niż te, jakie mogły być popełnione w interesie Szczepanowskiego. Zdaje się, że i rachunek Szczepanowskiego został bez wiedzy właściciela obciążony kwotami, które do ręki Szczepanowskiego nigdy nie wpłynęły. Szczepanowski odpowiedzialność i za te sumy przyjmuje na siebie — a gwarancyę za niego dają przemysłowcy: Wolski i Odrzywolski.

Ci dwaj ludzie — to postacie najjaśniejsze, najsympatyczniejsze wpośród długiego szeregu świadków występujących w procesie. Ofiarowali dobrowolnie cały swój milionowy majątek, aby spłacić długi Szczepanowskiego aż do ostatniego centa. Kto widział tych ludzi przed sądem, kto słyszał ich zeznania, ten musiał mieć wrażenie, że są na świecie jednostki, które urzeczywistniają swem postępowaniem najwyższe ideały szlachetności — i ten musiał być dumnym, że wśród naszego społeczeństwa ci ludzie się znaleźli.

Przewodniczący pyta p. *Wolskiego*:

Jakie powody skłoniły panów do tak niezwykłego kroku, jak oddanie całego milionowego majątku na pokrycie długów Szczepanowskiego?

A *Wolski* odpowiada:

Były to pobudki takie, jakie mogą kierować postępowaniem uczniów względem mistrza. Szczepanowski nam wskazał drogę do bogactwa, a jakeśmy zaczynali u niego pracować na własną rękę, nie mieliśmy ani grosza. Jemu zawdzięczamy nasz majątek. Niechaj nikt nie powie, że on kasę zarwał. — —

Przewodniczący: A z czemże panowie zaczniecie na nowo pracować?

Wolski: Zaczynaliśmy już raz z niczem, od pracy prostego wiertnika w bluzie robotniczej, to i jeszcze raz zacząć możemy z tym samym kapitałem...

Nie wiem, czy był kto w sali, kto — słysząc te słowa proste, a tak szlachetne, a tak głębokie — nie chciał, jak ja, w głos zawołać: Szczęść Wam Boże do nowej pracy — aby była wydatna i obfita w plony!

Wyrok w tej sprawie — to już rzecz podrzędnej wagi. W takich sprawach, gdzie, jak w tej, zagląda społeczeństwo w tajniki dusz ludzkich i współczucie uczuwa — w takich sprawach wyrok — to prosta formalność, bo tu los sam sobie sprawiedliwość wymierzył, dając jednemu ze zbłąkanych — śmierć w hańbie, a drugiemu — ugiąwszy dumną głowę aż do samej ziemi i każąc mu powtarzać publicznie to, co dotychczas w tajnikach duszy swej chował: że za śmiałe miał plany i dla tego zbłądził...

Kazimierz Radwan.



Kultura polska w Poznańskiem.

Dwa pokolenia już nasze wychowały szkoły niemieckie. Dwóch pokoleń wychowanie zakrojone było na modłę niemiecką — głęboki ślad musiał ten czas wyryć w umysłowości społeczeństwa naszego. Chłopiec w szóstym roku życia, kiedy jeszcze nie zna głosek ojczystej mowy na łupkowej tabliczce uczy się kreślić litery gotyckie i wpajają mu dźwięki niemieckiego języka. Z siódmym rokiem trzeba go oddać do szkoły, gdzie usłyszy tylko wykład niemiecki: — trudno, trzeba go tak dalece przygotować w domu, aby z nauczycielem w obcym języku mógł się porozumieć.

Przychodzi czas gimnazyalny. Całe nauki skierowane są ku temu, aby dziecko poznało na podstawie kultury starożytnej ducha obecnej kultury niemieckiej. Chłopiec słyszy o głośnych poetach niemieckich, słyszy nazwiska uczonych niemieckich, uczy się historyi bohaterów niemieckiego narodu: przyszły obywatel państwa niemieckiego poznać powinien przeszłość państwa, do którego należy, i jego ludzi, powinien przeszłość tę pokochać, przyjść do przekonania: że wiele jest wielkich narodów, ale największym jest ten, który tworzy państwo, do którego należy. — Takim jest cel wychowawczy niemieckiej szkoły. — O przeszłości własnego narodu człopiec ten nie usłyszy, cały świat, w którym żył i walczył naród jego, wszystkie skarby narodowego zapału i uczucia, na które się bogate życie tych wieków złożyło, będą dla niego, który tutejszą szkołę ukończył, kartą niezapisaną, ciemną i — zakazaną. „Zakazaną“... może nieściśle się wyrażam. Mieliśmy nauczyciela Niemca, który jednego z Polaków naszej klasy zgromił ostro za to, że nie umiał wyliczyć królów polskich — kochaliśmy go wszyscy za to, i jego wykład przyjmowaliśmy z zapałem. Był to szlachetny wyjątek.

Plan nauk dość obszerny: zaledwie zdolniejszy ma czas na poboczne zajęcia, — tylko chętny prywatnie po ukończonych lekcyach szkolnych odczytuje literaturę polską i historyą i arcydzieła poezyi naszej.

Przychodzi czas uniwersytetu. Wiek, w którym młody człowiek pierwsze samodzielne czyni kroki, spędza w niemieckiem mieście. Poczyna czerpać naukę życiową i przejmuje obyczaj otoczenia i jego poglądy na świat i ludzi. — Później zawierać musi nieraz stosunki w domach niemieckich i tak żyje i oddycha obcą atmosferą.

I jako człowiek skończony staje na Poznańskim gruncie i tworzy ogniwo w społeczeństwie.

Gdzie i kiedy miał czas zapoznać się z duchem przeszłości naszej i z duchem obecnego, rodzinnie polskiego życia umysłowego, jeżeli z samego siebie nie czerpał zapału do pracy nad dziełami ducha naszego?!

Ztąd mało który z młodej generacyi naszej ma piętno polskiej kultury, zna prócz tytułów kilka romansów Kraszewskiego i Sienkiewicza — to czynniki, które się na polską kulturę złożyły. — Nawet przysłowia i bon mots łatwiej mu cytować w języku niemieckim niż w polskim.

Powiedzieliśmy, że przeważnie sam z siebie tylko czerpać może zapał do ojczystych pamiątek i dzieł: szkoła w nim zapału tego nie obudzi ani ci ludzie, którzy w innych społeczeństwach jako przedstawiciele nauki i sztuki narodowej zapalają myśl młodą, — dlatego, że u nas ludzi takich nie ma. — Społeczeństwo nasze i małe i ubogie, przytem zamknięte dla niego w kraju wszystko, co się nazywa urzędem. Nie mamy dlatego uczonych miejscowych, literatów, artystów, publicystów w szerszym stylu. — Mamy tylko ludzi na stanowiskach prywatnych, a ci w największej części zaabsorbowani pracą na chleb i polityczną działalnością nie mają poczęści czasu ani myśli po temu, aby się poświęcać dyletanckiej pracy na polu — narodowej nauki i sztuki, — ci zaś, którzy to czynią — a liczba ich nader szczupła — nie mają tej energii, która się na zewnątrz udziela i zapala. Żyją pod tym względem dla siebie, nie dla społeczeństwa. W ostatnich czasach z łona młodszej inteligencyi Poznańskiej piękna wyszła inicyatywa: zaczęto wykłady popularne. Wielka to zasługa tych, którzy myśl tę podali i w czyn oblekli. — Czego sami nie zrobią, zrobi może zapał, który obudzają.

A jako, że nam braknie ludzi, którzyby tworzyli ogniwo, spajające życie umysłowe dzielnicy naszej z Wszechpolską, przeto wszystko co zrobić możemy, aby tu polską umysłową zachować kulturę, jest budzenie zapału w jednostkach, aby same pracowały w duchu kultury rodzimej.

Kostryn.

Sprawy społeczne.

Sprawę szwaczek w Poznaniu poruszono, lecz nie przeprowadzono do końca. Jest to cnotą to, co się poczęło przeprowadzić konsekwentnie i mimo wszelkich trudności naturalnie, jeżeli sprawa jest dobra.

Około sprawy powinny same szwaczki chodzić, bo znowu jest zasadą i regułą życia, aby się na innych nie spuszczać, nie czekać aż pieczone gołąbki same przyjdą do gąbki.

Przedewszystkiem powinny się szwaczki *zorganizować*, połączyć w jeden wielki związek. We walce o byt i zarobek jak w każdej walce jeden żołnierz nic nie znaczy, dopiero chmara żołnierzy, wojsko; i to wojsko porządnie zorganizowane, pod komendą, podzielone na pułki, operujące według planu.

W jaki sposób się zorganizować?

Dwie lub trzy szwaczki niechaj w niedzielę po południu usiądą sobie w izdebce i niechaj ułożą *krótki* statut związku szwaczek w Poznaniu. Jedna niech zaraz pisze. Jedno się doda, drugie się przekreśli, jednej to, drugiej owo wpadnie do głowy.

Skoro projekt statutu będzie gotowy, należy pomiędzy szwaczkami zebrać kilkanaście marek i zamówić, nająć salę, ogłosić w gazetach, że w tym a tym dniu, o tej a tej godzinie, w tej a tej sali odbędzie się zebranie szwaczek celem założenia związku. Równocześnie trzeba zameldować policyi, że, gdzie i kiedy zebranie się odbędzie. Policya musi dać kwit, że zebranie zameldowano, który to kwit trzeba ze sobą zabrać na zebranie na wszelki przypadek, aby się przed policyą wylegitymować, że się zameldowało zgromadzenie.

Na zebraniu niechaj jedna z kobiet wystąpi i przemówi w prostych słowach, że położenie szwaczek jest marne, że trzeba pomocy, a najpierw samym trzeba się wziąść do dzieła, że fundamentem i pierwszym warunkiem jest związek, organizacya i oto wzywa się wszystkie szwaczki rozumne, aby do związku wstąpiły, oto projekt do statutów.

Najpierw przeczyta się cały projekt, potem jeden paragraf po drugim. Przy każdym paragrafie niechaj ze zgromadzenia ta lub owa prosi o głos przewodniczącą i powie swoje zdanie. W ten sposób ułoży się statut i przeczyta głośno.

Przewodnicząca wzywa, aby te, które się chcą wpisać do związku, podały swe nazwisko i mieszkanie. Naprzód przysposobić należy kilka arkuszy papieru, ołówki, kilka ze zebranych rozchodzi się po sali i na kilku miejscach spisuje zgłaszające się.

Skoro wszystkie spisane, przewodnicząca wzywa, aby się oddaliły te, które do związku należeć jeszcze nie chcą, a gdy na sali pozostaną kandydatki związkowe, obiera się zarząd z trzech osób i związek jest założony.

Projekt do statutów mógłby np. tak wypatrywać: § 1. Związek szwaczek w Poznaniu ma na celu wspólnemi siłami dbać o dobro moralne i materyalne szwaczek. – § 2. Na czele związku stoi zarząd wybierany rocznie przez walne zebranie, który może więcej osób powołać do pomocy. — § 3. Składka miesięczna wynosi ...... § 4. Wszystkie sprawy tyczące się szwaczek, skargi, spisy płacy i t. d. należy składać ustnie lub piśmiennie do rąk zarządu. — § 5. Zarząd zgromadza się na naradę co tydzień, a co kwartał zwołuje walną naradę nad sprawami szwaczek i sposobami, aby im zapewnić dobrą dolę. — § 6. Sprawy polityczne są wykluczone.

To fundament. Skoro będzie założony można pomówić o tem, jak dom budować.

Statuta można później zmieniać, porobiwszy doświadczenia, na dorocznem walnem zebraniu. Niejedna rzecz, którą często umieszczają w statutach związkowych nie jest koniecznie potrzebna w tychże i wystarczy ustnie porozumieć się na zebraniach. Niech będzie mało na papierze a wiele w czynach.

Prawo przepisuje, aby tylko związki polityczne, które mają wpływać na sprawy publiczne, podały w trzech dniach po założeniu policyi statuta i nazwiska i mieszkania członków, i aby o każdej zmianie statutów zawiadamiały policyą. Dla każdego bezstronnego jasną jest rzeczą, że związek szwaczek nie jest polityczny. Ponieważ jednak wobec Polaków policyi, rządowi, sędziom trudno być bezstronnym, dla tego lepiej zapytać się dyrektora policyi, czy uważa związek szwaczek za taki, który potrzebuje podać policyi statuta i t. d.

Poradziliśmy szwaczkom, aby się zorganizowały i okazaliśmy sposób jak to mają uczynić. Równą radę i podobny sposób wskazujemy wszystkim innym osobom licznym, mającym równe zajęcie, jednego stanu. Cechy każdemu i wszędzie potrzebne, aby stan jaki moralnie i materyalnie prosperował. *R....*



Poezya górnośląska.

Skreślił

Bronisław Koraszewski.

V.

Dr. Juliusz Roger, nadworny lekarz księcia na Raciborzu, zajął się swego czasu gorliwie zbieraniem piosnek ludowych, a pomagał mu w tem nauczyciel Józef Lompa. Nuty spisał po większej części niejaki p. K. Schmidt, książęcy kapelmistrz w Rudach, który wogóle zredagował poezyjną część obszernego dzieła, zawierającego 546 piosnek, a wydanego przez Juliusza Rogera. Ostatni pisze w przedmowie pięknego swego wydawnictwa między innemi co następuje: „Niniejsze pieśni zbierano między ludem polskim Ślązka Górnego. — Sąsiadując z Niemcami, Morawianami i Czechami, lud ten zamieszkuje najdalej ku wschodowi położone powiaty pruskiego Ślązka po obu stronach Odry i w austryackiem Księztwie Cieszyńskiem ciasne doliny od południa na północ, ciągnące się wzdłuż północnej pochyłości Beskidu. Na próżno szukalibyśmy tych pieśni po miastach; tam bowiem po większej części panuje język niemiecki, zdarza się nawet, że dzieci mieszczańskie nie rozumieją rozmowy polskich rodziców swoich. Ale lud *wiejski* górnoślązki prawie wszędzie w przeważającej większości jest polski. Włościanin polski, osiadły wśród wielkich borów, w chacie gruszami i lipami otoczonej: Tu matka uradowana polskiemi słowy wita swoje pierworodne, tu w szkółce nauczyciel po polsku daje dzieciom początki wiedzy (teraz niestety już nie — przyp. Red.) i z kazalnicy ksiądz polską mową opowiada ludowi bozkie nauki prawdy odwiecznej. Na tych polach wyrosły wonne kwiaty pieśni gminnej, której nuty orzeźwiające duszę i serce nie zaginą, dopóki lud żyć będzie. Jak wszędzie, tak i tu po wsiach płeć żeńska głównie zachowuje pieśni gminne; to też piosnki, moim zbiorem objęte, prawie wszystkie pochodzą z ust niewieścich, a niejedna ręka kobieca spisała dla mnie piosnkę ulubioną“.

Hoffmann z Fallerslebenu, zasłużony wydawca pieśni ludu ślązkiego, opowiada, iż jedna wiochna z pod Wrocławia umiała wyśpiewywać 60 pieśni, tak samo i mnie nadmienić wypada na pochwałę wybornej pamięci, jaką była obdarzona jedna z górnoślązkich wiejskich śpiewaczek, skoro umiała na pamięć nuty i tekst przeszło 80-ciu piosnek.

Co do języka pieśni uważny czytelnik przekona się, jak niedorzecznym jest przesąd dosyć rozpowszechniony, mowę polskich Górnoślązaków ogłaszający zepsutym dyalektem języka polskiego. Bo lubo liczne germanizmy wcisnęły się do górnoślązkiej polszczyzny (podobnież jak galicyzmy do innych języków nowożytnych), a w niektórych okolicach, gdzie polszczyzna oddawna styka się z czeszczyzną, wpływ języka czeskiego mocno czuć się daje: Z tem wszystkiem jednak mowa polskich Górnoślązaków wogóle jest tym samym językiem, jakim mówi wiejski lud polski po za krańcami Górnego Ślązka....

Dodać wypada, że Juliusz Roger był Niemcem, co zaznacza w końcowych słowach swojej przedmowy, podnosząc, że jeśli dziełko jego jako Niemca potrafi choć cokolwiek rozproszyć mgłę, jaką przesądy zaciemniają lud polski Górnego Ślązka i język polski, oraz przyjemniejsze światło rozlać po jego miłem życiu duchowem, które się w pieśni objawia nietłumione wpływem świata zewnętrznego — będzie to sowitą nagrodą dla jego pracy i trudów, które podjął około zbioru pieśni ludu polskiego górnośląskiego.

W zbiorze swym podaje Roger prócz bardzo licznych pieśni miłosnych i weselnych, o których poprzednio już wspomniałem, pieśni wojackie, myśliwskie, pasterskie i rolnicze, wiosenne, pożegnalne, żartobliwe i t. d.

Z pieśni wojackich przytoczę choć jednę:

O przyszło mi, przyszło
Od majora pismo,
Muszę maszerować
Na wojenkę istą.

Muszę odejść ojca,
Matkę miłośnicę,
Muszę maszerować
Na pruską granicę.

Na pruską granicę
Wszyscy się zjeżdżają,
A te nasze serca
Bardzo się lękają.

Będzie wojna, będzie
Wele Raciborza,
Tam się krew przeleje,
Jako woda z morza.

Będzie wojna, będzie
Wokoluśko wszędzie:
Szczęśliwy ten wojak,
Co on do dom przyjdzie.

Będzie wojna, będzie
Wokoluśko wszędzie:
Niejedna matuchna
Syneczka pozbędzie.

Z licznych pieśni żartobliwych przytaczam następującą:

Chodził ku mnie, chodzował
Z kancelaryi pisarz,
Miałci kłobuczek fajny,
Choćby jaki césarz.

W jednej ręce kałamarz,
W drugiej ręce pióro,
Chciał, abych go wpisała,
Do serduszka swego.

Kiebyś ty był młodzieniec,
Jakech ja jest panna,
Dałabych ci ten wieniec,
Co ja noszę sama.

Mój zielony wianeczek
Na głowie skacze,
Ale twoja poczciwość
W kolebeczce płacze.

i jeszcze jednę:

Przyszła baba do fararza,
Była bardzo strapiona:
Powiedzcież mi, księżoszku,
Czy ja będę zbawiona?
Ksiądz jej wejrzał do paszczęki,
Baba zębsków nie miała:
Nie bój się, babsko, piekła,
Czemżebyś tam zgrzytała?

Potem go się dalej pyta.
Daleko do jej śmierci?
Czekaj, babsko przeklęte,
Aż przyjdą po cię czarci!

Na zakończenie niniejszego rozdziału podaję z bardzo licznych choć jednę balladę, która opiewa następującą miłosną scenę:

Poszla panna po wodę
Miała piękną urodę.
Wyjechałci pan
I stłukłci jej dzban.

Moja panno nie płaczże,
Bo ja ci dzban zapłacę;
Za zielony dzban
Talara ci dam.

I talara nie chciała,
Tylko o dzban płakała:
Mój zielony dzban,
Co mi go stłukł pan.

Moja panno nie płaczże,
Bo ja ci dzban zapłacę;
Za zielony dzban
Konika ci dam.

I konika nie chciała
Tylko o dzban płakała:
Mój zielony dzban,
Co mi go stłukł pan.

Moja panno nie płaczże,
Bo ja ci dzban zapłacę;
Za zielony dzban
Sam ci się oddam.

Chwała Tobie z wysokości,
Żem dostała Jegomości,
Za zielony dzban
Dostał mi się pan.

W chwili, gdy artykuł powyższy chciałem zakończyć, przysyła mi jeszcze Bartłomiej *Kampa*, młodzieniec z Siołkowic (w powiecie Opolskim) kilka piosnek tamże przez młodzież śpiewanych, z których choć trzy jeszcze przytoczę, mianowicie, że ich nigdzie nie znajduję wydrukowanych.

1.

Ej, miałach ci ja, ej kochaneczka,
Ej, co on miał liczka, jak różeczka;
Dowiedziałach ja sie, iże on mnie nie chce.
Iże mi go bronią jego rodzice.

Ej bronią, bronią, bali i oba,
Iżem ja jest dziocha, iżem uboga,
Każą iść do takiej dziewuchy bogatej
Co ona ma z tysiąc albo dwa.

Ej dziołcho, dziołcho, ejcic mi cię żal,
Takiego serduszka już nie będę miał,
Takiego serduszka, stałego słoweczka,
Ej, choćbych je se ze sta wybierał.

Ej, dziołcho, dziołcho, studzić mi się świat,
Iże cię, dziewucho, nie mogę dostać,
Ani też chusteczki od swej kochaneczki,
Ej, co ja się nią nieraz ocierał.

2.

Z niedzielinki na pońdziałek
Drobny deszcz pada,
A ta moja kochaneczka
Krowy wygania.

Żynie krowy do dąbrowy
Na zielony wrzos,
Usłyszała kosa śpiewać
Na rozmajty głos.

O ty, kosie, śpiewaj jeszcze,
Smutną nutę masz,
Boć ja idę od mej miłej
Ten ostatni raz.

Świeć miesiączku po lekuśku
Do białego dnia,
Boć eś już ty, ty dziewucho
Wianka niegodna.

Jam go godna, jam go godna,
Tyś go niegodzien,
Boć eś ty już po całej wsi
Dziołchy pozwodził;

Po całej wsi od granicy
I po klapaczu
Na ostatkuś do mnie przyszedł
Szelmo, wichłaczu!

3.

Warszawa i Kraków to są swarne miasta
Obiecał ...., iże je potrzaska,
Kościuszko odpisał, iż go się nie boi,
W Krakowie, w Warszawie pełno wojska stoi.
Maszeruje wojsko z rozkazu Kościuszki
Na tym ostateczku, to ten mój miluśki.
Po czemś go poznała, kiejś z nim niegadała,
Łozwiał chusteczkę, com ja mu ją dała.
Dałam mu ją, dała, żaden nie wie o tem,
Com ja wyszywała trzy niedziele złotem.
Rybarze, rybarze, dla Boga żywego,
Nie widzieliście tam kochaneczka mego?
Widzieli, widzieli, ale nieżywego
Na pośrodku Odry mieczem przebitego.
Kiedyś się ty przebił, przebijma się oba,
Damy się pochować w jednym grobie oba.
W jednym grobie oba i w jednej kaplicy,
Damy się rysować na jednej tablicy.

Ostatnia śpiewka nastrojona jest duchem patryotycznym, narodowym. Że takich właśnie patryotycznych piosnek, ponadto treściwszych jeszcze, niż powyższa, lud nasz ma wiele więcej i sam je układa, o tem powiem w następnym numerze „Pracy“, w którym też szereg niniejszych moich artykułów zakończę.





Z TYGODNIA.

Wypadkiem minionego tygodnia była poważna klęska, jaką ponieśli Anglicy w wojnie z Boerami. Pod Ladysmith zostało wziętych do niewoli 2 tysiące ludzi, sześć dział i 42 oficerów angielskich. W ten sposób więc przebieg wojny rozwiał niejedno złudzenie i zadał kłam niejednej przepowiedni. Na horyzoncie politycznym gromadzą się chmury przeciw Anglii — w postaci interwencyi mocarstw europejskich. Gdyby angielskie wojska pokonały od razu Boerów — to co innego, ale skoro się pokazało, że Anglia z Boerami rady dać sobie nie może — i skoro już jest dziś pewnem, że Anglicy ponieśli kilka poważnych porażek, które wojnę przedłużyć mogą, nadejść może chwila, gdy mocarstwa, przynaglane przez Boerów, uznają, że czas do wkroczenia i interwencyi.

Dziwne niedawno obiegały wieści o spotkaniu trzech cesarzów, mianowicie austryackiego, rosyjskiego i niemieckiego — w Spale lub w Skierniewicach na polowaniu. Tego rodzaju spotkania nie są nigdy pozbawione politycznego znaczenia i wywołane są zazwyczaj koniecznością ustnego bezpośredniego omówienia spraw polityki bieżącej. Jeśli niedawno zupełnie stanowczo twierdzono, że bawiący obecnie w Darmstacie cesarz rosyjski odwiedzi cesarza Wilhelma w Potsdamie, potem zaś — że cesarz Wilhelm odwiedzi królową angielską w Windsorze, to bezwątpienia plany te, potwierdzone zresztą ze źródeł urzędowych, wywołane zostały kombinacyami politycznemi i pozostawały w związku z mającą wybuchnąć wojną. Jak utrzymują obecnie, na zjeździe cesarzów w Skierniewicach omówioną ma być kwestya, czy w razie zwycięztwa Anglii w Afryce państwa pomienionych monarchów nie powinny dla utrzymania dotychczasowego stosunku wzajemnych sił — żądać wynagrodzenia dla siebie. Zwłaszcza Rosya ma wielkie widoki na posiadłości graniczące z angielskiemi koloniami w Azyi. Jednocześnie rząd rosyjski stara się swe polityczne forpoczty posunąć dalej na zachód, nie ustając w osięgnięciu zamierzonych celów w Finlandyi. Niedawno minister rozporządził zniesienie osobnych marek pocztowych finlandzkich — obecnie senat finlandzki postanowił rozporządzeniu temu się oprzeć i polecił, po nowym roku wypuszczać marki dotychczasowe w obieg, przez co wywołanym bezwątpienia zostanie poważny konflikt z władzami petersburskiemi.

W Austryi — dzięki osobistej interwencyi cesarza Franciszka parlament, funkcyonujący dopiero od dni kilkunastu, załatwił już sprawę najważniejszą, a mianowicie dokonał wyboru delegacyi do komisyi, która załatwić ma przedłużenie kontraktu z Węgrami. Zdaje się, że po załatwieniu tej najważniejszej pracy, oraz po uchwaleniu zniesienia stempla dziennikarskiego parlament „utknie“ znów na czas dłuższy na kwestyi językowej w Czechach.

Kwestya ta, dzięki której już oto czwarty z rzędu minister się wykoleił, nie należy do łatwych. I obecnie, wobec zniesienia rozporządzeń Badeniowskich polała się krew w Czechach: rozognione tłumy musiało dopiero wojsko uspokajać ogniem karabinowym. Zaiste trudno pomyśleć, coby się działo w Austryi, gdyby nie to, że korona Habsburgów na tak zacnych i szlachetnych skroniach cesarza Franciszka spoczywa.

Zapowiedziane w jego rodzinie małżeństwo, mianowicie zamążpójście arcyksiężnej Stefanii, wdowy po następcy tronu Rudolfie, nie dojdzie do skutku. Tak przynajmniej głosi najnowsza fama. Jakiego rodzaju pobudki mogłyby wpłynąć na tak nagłą zmianę zamiarów — niewiadomo.

Prawdziwie niedźwiedzią niespodzianką był w Niemczech ogłoszony niedawno temu projekt nowego powiększenia marynarki. „Nowych okrętów potrzeba — nowych okrętów!“ — oto hasło, które słyszymy co rok, jakkolwiek za każdą razą rząd się uroczyście wypiera dalszych planów powiększenia floty wojennej. Teraz znów wojna Anglii z Transwaalem dała pożądany asumpt rządowi niemieckiemu do wykazania nibyto nieodzownej potrzeby powiększenia armii. Jakie to szczęście, że nasze wewnętrzne położenie polityczne tak się ułożyło, iż wyborcy polscy nie potrzebują się obawiać, aby posłowie mieli głosować za temi projektami, bez końca i miary wyciskającemi podatki z ludności.

W Rosyi zaszła pewna zmiana, znamionująca inicyatywę cesarza Mikołaja II. Dymisyę otrzymał dotychczasowy minister spraw wewnętrznych, Goremykin, a na jego miejsce naznaczonym został Sipiagin. Goremykin był biurokratą i człowiekiem ciasnych poglądów. On wywołał ciągłe starcia pomiędzy Warszawą a Petersburgiem w sprawie polityki względem Polaków, wskutek czego polityka nie odznaczała się zapowiadaną tendencyą konsekwentnie przyjazną dla Polaków, lecz bezustanną chwiejnością. Sipiagin ma opinię człowieka zdolnego i sprawiedliwego. Liczy lat 46.

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

Stosunki szkolne w naszej prowincyi są wytworem tak wielu częstokroć sprzecznych ze sobą rozporządzeń ministeryalnych, gabinetowych i Bóg wie jakich, że społeczeństwo, rzec można, oddane jest formalnie pod kuratelę rozmaitych inspektorów szkolnych i t. d. a wiadomo, co to oznacza, gdy się któremu z tych panów zechce zbierać laury „działacza“ na polu krzewienia germanizacyi. Na temat stosunków na polu szkolnictwa pruskiego w Poznańskiem panujących kreśli poniższe uwagi **„Dziennik Poznański“**:

„W państwie pruskiem nie ma — jak wiadomo — obowiązującej ustawy szkolnej. Zastępują ją reskrypta i rozporządzenia, wcale nie drukowane, lub tylko umieszczone w urzędowych organach szkolnych, niedostępnych dla szerszej publiczności. W Księztwie Poznańskiem powstało w ostatnich zwłaszcza latach wiele takich rozporządzeń poufnych, zakomunikowanych przez rejencyą inspektorom szkolnym, lecz nie drukowanych nawet w urzędowym dzienniku szkolnym, a zawierających instrukcyę co do wprowadzania do szkół, zwiedzanych przez dzieci polskie, różnych reform, a właściwie ograniczeń dawniejszych praw przywileji. Do poufnych takich poleceń należy instrukcya o systematycznem wprowadzaniu do szkół, zwiedzanych przez uczniów Polaków, niemieckiego wykładu religii, pociągającego za sobą całkowite zniesienie nawet fakultatywnej nauki polskiego czytania i pisania.

„Przed niejakim czasem odebrali inspektorowie szkolni wskazówki co do wywierania wpływu, aby dzieci polskiej narodowości uczęszczały na naukę przygotowawczą do przyjęcia Sakramentów św., przeznaczoną dla Niemców.“

Do powyższych uwag dodaje poświęcający zawsze dużo miejsca kwestyi szkolnej **„Kuryer Poznański“** wiadomość bardzo niepokojącą:

„Świeżo otrzymali inspektorowie szkolni polecenie przeprowadzenia dochodzeń, w jakim języku odbywają się śpiewy kościelne podczas tak zwanych szkolnych Mszy św. Wywięzując się z odebranych wskazówek, badają inspektorowie szkolni, przeważnie protestanci, czy w czasie Mszy św., na którą uczęszczają katolickie dzieci szkolne pod dozorem nauczycieli, śpiewane bywają w kościele łacińskie, czy też niemieckie, czy wreszcie polskie pieśni nabożne. — Władza świecka — jak widzimy i na tym przykładzie, miesza się coraz natarczywiej do spraw czysto kościelnych.“

Ostatnie słowa mianowicie, że władza państwowa coraz to bardziej chce się mięszać do spraw czysto kościelnych dadzą się zupełnie słusznie użyć w ogólnem znaczeniu. To mięszanie się władzy świeckiej do atrybucyi władzy duchownej w coraz przykrzejsze położeniu stawia nasze duchowieństwo i rychło patrzeć a zaczną się pojawiać na polityczno-wewnętrznym horyzoncie oznaki zbliżającej się ery nowego kulturkampfu. Walka ta dziś inaczej by była prowadzona, gdyż dziś i samowiedza narodowa ludności polskiej na zupełnie innym stoi poziomie niż przed laty było. Równocześnie z temi zapowiedziami wznowienia walki na polu religijnem coraz silniej występują na plac boju najgorsze instynkta i antagonizmy narodowościowe, wywołane przez hakatystów. Jak pewni są wpływów swych hakatyści wobec rządu, wybornie ilustruje opisane w **„Gazecie Gdańskiej“** posiedzenie tamtejszych hakatystów:

„Dyrektor Brunzen zaproponował, aby zarząd hakaty abonował wszystkie pisma polskie, przyjął osobnego tłómacza do tłómaczenia poszczególnych artykułów, które mają być następnie zamieszczane w gazetach niemieckich z dodaniem uwag. Wniosek dyrektora B. przyjął zarząd z podziękowaniem. (My także dziękujemy za poparcie, wzamian starać się będziemy artykuły okrasić i przypieprzyć dla tak znakomitego abonenta. Red.)

„A teraz najciekawsza. Przy samym końcu zabrał powtórnie głos p. Wagner i oświadczył, iż główny zarząd stoi w ścisłych stosunkach ustnych ze wszystkiemi miarodawczemi kołami czyli ministerstwami (!!!) i udało mu się wiele złego z współudziałem władz usunąć (!!!). — A więc doszło już do tego, że hakatyści publicznie chełpią się z tego, iż po-

siadają wpływy na „koła miarodawcze“ i że władze rządowe idą za ich wskazówkami! — Dziwne to światło rzuca na dzisiejsze stosunki. — Władze czuwać mają nad tem, aby wszystko szło według prawa, a tu dowiadujemy się od p. Wagnera, iż głównemu zarządowi hakaty udało się złe (!) usunąć z współudziałem (!) władz. Nie można tego inaczej zrozumieć, jak, że hakata decyduje, co złe a co dobre, a władze do tego się stosują!“

Wnioski zrobione przez „Gaz. Gdańską“ są słuszne, a dodać do nich należy i to, że władze do życzeń hakaty nietylko się stosują, ale nawet odnośnemi czynami się chełpią. Dowodem postępowanie byłego prezesa regencyi w Poznaniu, pana Jagowa, który obecnie, zdając przed wyborcami swymi w Osterburgu sprawozdanie poselskie, omawiał stosunek swój do Polaków.

Przytaczamy w tej sprawie głos **„Wielkopolanina:**

„Mówił pan Jagow, dla czego wydał zakaz przeciwko zjazdowi lekarzy polskich, dla czego nałożył karę 100 mk. na kobiety polskie, uczące dzieci języka polskiego prywatnie bez żadnego wynagrodzenia, dla czego wydalił Siostry Ochroniarki.

„Pan Jagow bronił swego stanowiska, przyczem musiały wyjść na jaw jego czyny, to zaś wyglądało na chwalbę.

„Zobaczymy, czy pan Jagow miał się czem chlubić?

„Wszystkie zakazy wydane przez p. Jagowa świadczą jedynie o wielkiej dla nas niechęci.

„Pan Jagow był naczelnym prezesem rejencyjnym w W. Ks. Poznańskiem, a więc w dzielnicy, w której zamieszkują Polacy i Niemcy.

„Jeżeli naczelny prezes rejencyi czynem i jawnie okazuje swą niechęć do jednego z żywiołów, zamieszkujących dzielnicę, wywołać musi w tym żywiole przekonanie, że tak, jak najwyższy reprezentant rządu, tak też i rząd sam żywi niechęć do tego żywiołu.

„Prosty skutek takiego postępowania jest ten, że żywioł, któremu okazano niechęć, taką samą miarką się odpłaci — a więc rozporządzenia pana Jagowa wywołały w polskiej ludności, przeciwko której rozporządzenia p. Jagowa były zwrócone, tylko niechęć do rządu pruskiego.

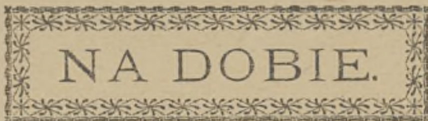
„Jeżeli rząd pruski ma taki cel na oku, w takim razie pan Jagow istotnie wielką rządowi pruskiemu wyrządził przysługę.“

Zwracamy tylko uwagę król. rządu, że takie postępowanie nie przytłumia, lecz przyczynia się do wzmocnienia ducha polskiego w najszerszych warstwach ludności. Jeżeli by rząd kierował się sprawozdaniami i wiernemi spostrzeżeniami nazbieranemi z pośród ludu prostego, to zauważyćby musiał, że lud ten coraz bardziej się przekonywuje, jaką powinna być rola jego wobec nienormalnego stanowiska rządu pruskiego względem poddanych Polaków. Nam się przynajmniej zdaje, że już samo uważne czytanie korespondencyi, oddrukowanych w pismach ludowych polskich, musiałoby wpłynąć na zmianę zapatrywań rządu na kwestyą polską. Widać bowiem już z tych korespondencyi, że lud się ocknął, że już nie jest martwem narzędziem w ręku germanizatorów, i że nie pora na narzucanie mu obcych pojęć, bo on dąży do silnego ugrupowania się przy sztandarze narodowym. Taki duch wieje z korespondencyi, ogłoszonej w **„Gaz. Grudziądzkiej“** p. t. Z tucholskich borów:

„Coraz to głośniej odzywa się pragnienie ludu tutejszego, żeby swój grosz ciężko zapracowany nie potrzebował zanosić do innowierców, a mianowicie do żydów, ale do swoich kupców i rzemieślników.

„Słuszne to jest życzenie, gdyż każdy prawowity chrześcian-katolik, który bory tucholskie poznał, nie mało się niezawodnie zatrwożył, gdy w każdej wiosce znalazł na karczmach prócz małych wyjątków tylko żydów i Niemców. Składy łokciowe i bławatne jako i żelastwa znajdują się wyłącznie w ręku żydów i Niemców. Lud więc polski zmuszony po części zaopatrywać swe potrzeby w składach obcego żywiołu, i tym sposobem grosz swój zanosić tym, którzy mianowicie w ostatnim czasie w swej zaciekłości przeciw katolikom tak dalece się posunęli, że nie wahają się publicznie w paszkwilach gazeciarskich naśmiewać się w zuchwały sposób z religii katolickiej jako też księży. Godzą więc nie tylko na byt materyalny polskiego ludu, wyłudzają od niego ostatni grosz, lecz pragną mu także wydrzeć wszelkie moralne podstawy, zbeszczeszczając jego religią, jak to zrobił ów pastor mówiąc o papieżu, Leonie XIII.“ *B. M.*





NA DOBIE.

Z prowincyi.

Kochana „Praco“!

Pozwól, że w imieniu grona czytelniczek z prowincyi poruszę na Twych poczytnych łamach kwestyę, która każdą Polkę żywo obchodzić powinna. Oto otwiera się przed nami kobietami pole obywatelskiej pracy nad sierotami. Dotychczasowe prawo pruskie nie pozwalało na to, aby kobiety opiekowały się sierotami jako opiekunki prawne. Ma teraz być inaczej i kobietom przysługuje możność przyjmowania opieki prawnej. Jest to jeden z przepisów nowego kodeksu cywilnego.

Niechaj zatem Polki nasze już w porę zgłaszają się do odnośnych władz z gotowością przyjęcia na się opieki prawnej nad sierotami, a w ten sposób w większości wypadków i kwestya bezpłatnej nauki języka polskiego — bo tej opiekunce żadne prawo zakazać nie może — byłaby rozwiązaną.

Opieka nad sierotami, zwłaszcza takiemi, którym germanizacya może grozi — oto prawdziwe i szlachetne zadanie niewiasty polskiej!

Jedna z czytelniczek.

* * *

Chrzanów, Galicya.

Szanowna Redakcyo!

Od niedawna jestem wprawdzie czytelnikiem „Pracy“, lecz mam zamiar pozostać nim na zawsze, bo kochane pismo Wasze jak żadne inne przypada mi do gustu. Tembardziej cieszę się, gdym się dowiedział, że „Praca“ zaczyna się rozpowszechniać w Galicyi, bo to jest właśnie pismo, na jakiem sferze mieszczańskiej i urzędniczej tu zbywa. Ubolewać nad tem należy niezmiernie, że nasi Galicyanie mało, a raczej nic nie czytają z Poznańskiego, a przeważnie z Warszawy. A jednak, ja tak sądzę przynajmniej, że pouczającem i stokroć ciekawszem byłoby utrzymywanie stałej styczności z Poznańskiem i urabianie sobie stałego pojęcia o tem, jak tamtejsze społeczeństwo polskie walczy z germanizacyą. My tu zamało wiemy o tych wszystkich wysiłkach, na jakie zdobywać się muszą Polacy, aby się ratować przed germanizacyą i przed śmiercią narodową. Czterdzieści milionów Niemców walczy zawzięcie przeciw garstce Polaków, którzy stoją na zachodnich kresach polskości i zasłaniają inne dzielnice Polski od zalewu germańskich kulturtregerów. Bo trzeba i to sobie uprzytomnić, że nasi bracia w Wielkopolsce ten bodaj najważniejszy posterunek „straży od Zachodu“ dzielnie spełniając, nawet poparcia żadnego nie mogą się doczekać ze strony innych dzielnic Polski, bo nietylko, że mało kto z Królestwa i Galicyi zna Poznańskie, ale nawet nie interesuje się tamtejszemi stosunkami. Więc chociaż zapomocą gazet z tamtych stron powinniśmy utrzymywać łączność, której w nas wiekowa rozłąka zgnębić nie powinna.

Powinniśmy i my w Galicyi pamiętać, że jak się przerwie wał w Poznańskiem pod parciem pruskiego zalewu, to i nas w Galicyi dotknąć może.

Takiem oto pismem w duchu narodowym, pismem, które w każdym zeszycie daje pogląd na wszystkie dzielnice Polski, które ożywia i łączy braci, oddalonych od siebie polityczną granicą dzisiejszych państw ościennych — jest „Praca“. Ja z całego serca życzę „Pracy“ powodzenia a zwłaszcza dużo czytelników w Galicyi, aby w ten sposób utrzymaną była łączność z braćmi z pod pruskiego zaboru.

Szczerze oddany

F. Nad.

(Bóg zapłać! za szczere życzenia. — Red. „Pracy“.)

* * *

Elberfeld.

Kochana „Praco“!

Ponieważ już bardzo dawno nikt z nas, Polaków tu w Elberfeldzie zamieszkałych, nie zabierał głosu, pomimo, że kochanej naszej „Pracy“ przychodzi obecnie do Elberfeldu przeszło 200 numerów, więc wypadnie mnie wziąść za pióro, jako jednemu z najdawniejszych czytelników, bo odkąd „Praca“ zaczęła wychodzić, czytuję to pismo pilnie, dużo się z niego nauczyłem i każdemu je o ile sił starczy polecam. Inaczejby to dziś pomiędzy nami tu Polakami w Elberfeldzie zamieszkałymi wyglądało, gdyby wszyscy chcieli zastosować się do rad udzielanych im przez zacne pisma polskie i w zgodzie a wzajemnej miłości pracowali nad zachowaniem swej narodowości. Z wielu Towarzystw niemieckich katolickich powinniśmy sobie brać przykład, jak to należy gorliwie pracować dla dobra ogólnego. Ale u nas zamiast tego

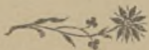
najczęściej powstają sprzeczki a swary o urzędy prezesowskie.

Bardzo często się tu zdarza, że Polacy chorzy w szpitalach leżą, a nie ma nikogo, ktoby ich odwiedził i zajął się nimi, choć to najpierwszy obowiązek chrześciański i narodowy, aby dać rodakom poznać, że się na wspólność ojczystego pochodzenia z nimi ma względy i na obczyźnie ich się wspomaga. Wiem ja o takich wypadkach, gdy naszym rodakom przynosili swoi do szpitala polskie gazety, aby mieli jakby list ze swojej ojczyzny. Ale za to są i tacy wśród nas, którzy za Polaków się mają, a pomimo to żadnej gazety polskiej do ręki nie wezmą, lecz tylko „General-Anzeiger“ tutejszy utrzymują.

Niedość tego jednak. Jest np. jedna rodzina, która należy do Towarzystwa, ale dzieci ani słowa po polsku nie rozumieją. Dla tego też sądzę, że nasz kraj kochany toby najświetniejszą przysługę zrobił wszystkim Polakom na obczyźnie zamieszkałym, gdyby wysłał jakiego mówcę w tym celu, aby odczyty miewał po Towarzystwach, nawołując do utrzymania narodowości, a zachęcając do abonowania pism polskich. Toby mogła i niejedna gazeta na własny koszt wysłać takiego agenta i wróciłyby się wszystkie wydatki, bo jeśli Polacy się dowiedzą, że mówca dobry przyjechał i będzie odczyt miał, to przyjdą tacy, o których nikt nawet nie wiedział i gazety sobie zapiszą. Kto dużo sieje, ten też i dużo będzie zbierać.

Tymczasem łączę serdeczne pozdrowienia jako wierny czytelnik i przyjaciel

Michał Tuszyński.



Siewaczka.



Miecie burza górą, lasem,
Świeży pola śnieg okrywa —
Jeno słonko błyśnie czasem
I skowronek się podrywa...
A siewaczka wyszła, sieje —
W Panu Bogu ma nadzieję!

W rolę twardą lecą ziarna,
Nieoraną przez oracza —
Skiby porze kula czarna,
Dziki Moskal ją zawłacza...
A siewaczka idzie, sieje —
W Panu Bogu ma nadzieję!

I gdzie ziarno garścią rzuci,
Zamiast deszczu krew się zlewa,
Wiatr tysiącem jęków nuci,
Płomień z dachu śniegi zwiewa...
A siewaczka idzie, sieje —
W Panu Bogu ma nadzieję!

Rozwinęły się już gaje,
I na gniazdo bocian wraca,
Już się słowik słyszeć daje,
Ozimina się wyzłaca...
A siewaczka ciągle sieje —
W Panu Bogu ma nadzieję!

I wciąż ziarna jej przybywa,
Aż się samo dopomina!
Do siewnika z serca zrywa
Żona męża, wdowa syna...
A siewaczka garnie, sieje —
W Panu Bogu ma nadzieję!

Innym w świecie już wesoło,
Zbioru czas zawitał miły —
Dla niej tylko wzrosły w koło
Szubienice i mogiły...
A więc dalej idzie, sieje —
W Panu Bogu ma nadzieję!

Taka była wola Boża,
Że jesienne spadły deszcze —
Zeszła rolę po dwa morza,
Nie skończyła siejby jeszcze...
A więc ciągle idzie, sieje,
W Panu Bogu ma nadzieję!

Mija jesień, minie zima —
Kiedyż koniec siewu będzie?!
Dnia ni nocy dla niej nie ma,
Nie przydrzemie, nie usiędzie...
Tylko jasna idzie, sieje —
Aż Bóg spełni jej nadzieję!

A wciąż ziarna jej przybywa —
Aż się samo dopomina!
Do siewnika z serca zrywa
Żona męża, wdowa syna...
Więc siewaczka idzie, sieje —
I Bóg spełni jej nadzieję!

Platon Kostecki.



Polacy na obczyźnie.

Polacy w Hamburgu. Ogół Polaków w Hamburgu, o których już pisaliśmy w ostatnim numerze (45) ,cieszyłby się ogólnem uznaniem, gdyby nie pijaństwo dość wśród robotników rozpowszechnione. Na zniemczenie i upadek moralności wpływa tu wiele przyczyn: Brak kościoła i kazania polskiego należy zaliczyć do najgłówniejszych. Jak bardzo są wychodźcy do kościoła i polskiego nabożeństwa przywiązani, dowodzi okoliczność, że nieraz idą bardzo daleko, aby usłyszeć kazanie, wygłoszone po polsku. Gdy robotnik, który przez 12 godzin był przy ciężkiej pracy, dowie się, że ma przyjechać kapłan polski, oczekuje do późnej nocy, aby się tylko wyspowiadać, usłyszeć naukę lub wysłuchać mszy św., która najczęściej odprawiana bywa w uprzątniętych oborach, stajniach i t. p. W ogóle są bardzo religijni i na potrzeby kościoła ofiarni, czem wzbudzają podziw u Niemców. Od czasu do czasu zjawiają się tu misyonarze polscy, ale ci mogą zwiedzać tylko punkty środkowe, więc pożyteczna ich działalność jest bardzo mała. Dalszą przyczyną są małżeństwa mieszane. Nie ma takiej Niemki, którаby, mając do wyboru Polaka i Niemca, nie wybrała pierwszego. Polak bowiem jest dobrym mężem, i co najważniejsza, nie porzuca swojej rodziny, co u Niemców, zwłaszcza w ostatnich czasach, bardzo często się zdarza.

Polacy w Danii. W Danii jest kilka tysięcy Polaków. Jestto przeważnie wiejska ludność robocza, przybyła częścią z Królestwa Polskiego (gubernii Kaliskiej), częścią z Galicyi.

Na półwyspie Noere Julian miewał ks. misyonarz Naleppa od maja do września nauki dla ludu polskiego. Odbyła się tu też misya, w której wzięło udział 3000 osób.

Robotnik polski (zajęty w polu) otrzymuje tu 1 koronę 25 öre czyli około 1 mk. 70 fen., umiejący kosić otrzymują więcej, kobietom płacą po 1 mk. 25 fen. Każdy robotnik ma tu bezpłatne mieszkanie, pościel, opał, 25 funtów kartofli, 3 garnce mleka zbieranego tygodniowo. W czasie żniw płacę dzienną podwyższają.

Ze strony gospodarzy robotnikom naszym nie dzieje się krzywda, wypłata odbywa się regularnie, podług umowy; natomiast włódarze wyzyskują naszych niemiłosiernie przy wypłacie, której dokonywują. Ks. Naleppa 80 takich włódarzy pociągnął do odpowiedzialności sądowej, skazani oni zostali na zwrot niewypłaconych pieniędzy i wysoką grzywnę tytułem kary.

Między robotnikami wielu jest takich, którzy ani czytać ani pisać nie umieją. Opuszczając rodzinne strony, nie wiedzieli, dokąd ich wiozą, teraz zaś nie mają pojęcia, gdzie się znajdują, w jakim kraju i pośród jakiego narodu. Wielce by się przysłużył i Ojczyźnie i tym biedakom człowiek uczciwy, odważny, rzutki, umiejący, jeśli nie po duńsku, to przynajmniej po niemiecku, któryby zechciał osiąść między naszymi robotnikami i pośredniczyć między nimi a gospodarzami.

Do mizery naszego ludu przyczyniają się też brak jedności i zgody; ten brak jedności i zgody był główną przyczyną upadku Polski. Kiedyż wreszcie dojdziemy do przekonania, że wzajemne zrozumienie, łączność i solidarność jest podstawą szczęścia i dobrobytu każdego narodu. Na maleńkim, obcym terenie powtarzamy dobrowolnie to, czego przed 100 laty wrogowie przemocą dokonali, dzielimy się na wrogie partye: Polacy z Galicyi nie mogą się zgodzić z Królewiakami i t. p. Potrzeba nam stowarzyszenia, które miałoby na celu: jednoczenie, kojarzenie, szerzenie poczuć solidarności. Da Bóg, że do tego przyjdzie.

O Polakach w Transwaalu pisze p. O. Kalt-Renieaux:

Właśnie obecnie, kiedy to wielkie mocarstwo, Anglia, zabiera się do zagarnięcia Transwaalu w południowej Afryce, ojczyzny dzielnych Burów, nasuwają mi się na myśl niektóre wspomnienia z mego 10-letniego tamże pobytu.

Przedtem przebywałem w Australii, gdzie zapoznałem się z niejakim panem Czarlińskim, który pochodzi z rodziny osiadłej w Prusach Zachodnich. Równocześnie z moim wyjazdem do Afryki powracał p. Czarliński do swego kraju rodzinnego z postanowieniem namawiania swych ziomków do osiedlenia się na żyznych ziemiach Australii, na obszarach, przezeń nabytych w pobliżu Winsorn, w Południowej Nowej Walii. Do r. 1896 nie miałem żadnej wiadomości o panu Czarlińskim, aż tu pewnego razu spotykam się z nim w stolicy Transwaalu — w Pretoryi. Tutaj powiadał mi p. Cz.

iż udało mu się znaczną liczbę ziomków osiedlić w Australii, po części rolników, którym się bardzo dobrze powodziło.

Naraz rozniosła się wieść o ogromnych pokładach złota w Transwaalu, która także dotarła do osadników polskich w Australii. Niezadługo też poczęli się osadnicy przesiedlać do Afryki, któremi przesiedlaniem znów p. Czarliński poniekąd kierował.

Pomiędzy rodzinami, które przesiedliły się z Australii do Transwaalu byli następujący ludzie z okolicy Grudziądza: Miszkowski, Radzewski czy też Radczewski i Bona z Grudziądza, Cybulski i Natapolski z Gaci, Mroczek z Zarośla, Cieślicki z Polskiego Węgrowa, Wierzbowski i Kornalewski z Linowczyka i wreszcie Piotrowski, Alaszewski i Kowalski z Niemieckiego Węgrowa.

Jako kopacze złota nie mieli ci ludzie jednakże powodzenia, gdyż wydobywanie złota ze skał można było tylko na wielką stopę, za pomcą rozmaitych maszyn przeprowadzić. To też p. Czarliński, widząc, że w tych okolicach nie ma nic płodów rolniczych, zwracał im na to uwagę, jakieby mieli korzyści, gdyby się trudnili rolnictwem i sprzedawali jaja, masło, owoc, jarzyny i t. d., tem bardziej, że nadarzyła się świetna okazya nabycia bezpłatnie już założonych osad.

P. Czarliński przyjął jako inżynier obowiązki w tak zwanej Drill Company w Chicago. Amerykańskie to towarzystwo miało też kopalnie w Brakpan na torze kolejowym Johannesberg-Heidelberg. Mniej więcej 11 kl. na południe od Brakpan, w kierunku ku Volksrust, gdzie niedawno temu zbierały się główne siły wojenne Burów pod wodzą jenerała Jouberta, spostrzegł p. Czarliński cały szereg gospodarstw, opuszczonych przez swych dawnych właścicieli, którzy byli poszli szukać złota i z powodu zaprzestania uprawy roli według tamtejszych praw do swych gospodarstw wszelkie utracili prawa.

Pan Czarliński radził więc swoim ziomkom, aby się tam osiedlili i nasi Grudziądzczanie, do których się jeszcze przyłączyli ludzie z Kwilcza i Jarocina w Ks. Poznańskiem, nie wiele myśląc, wzięli się do naprawy starych domków, doprowadzili do porządku ogrody owocowe i pola i zaczęli górnikom i inżynierom w Brakpan, Wakkorstrom i Heidelberg dostarczać żywności, z czego ci się bardzo cieszyli i grubo im płacili.

Już po kilku latach założyli sobie Grudziądzczanie spółkową mleczarnię i nawet fabrykę konserw owocowych. Sery z Modderpruit podawano w najlepszych hotelach jako rzecz znakomitą, sam jadłem takowe, jedząc w dniu spotkania się naszego z p. Czarlińskim wspólny obiad.

Kilka dni później zaprosił mnie pan Czarliński do siebie i w pewną niedzielę po południu pojechałem do Brakpan, gdzie p. Cz. na mnie czekał. Ztąd pojechaliśmy do polskiej osady do Modderspruit. Tu przyjął nas bardzo serdecznie p. Radczewski i poczęstował kieliszkiem ognistego wina i zimnemi przekąskami. Później oglądaliśmy gospodarstwa Grudziądzczan i muszę przyznać, że wielkie zrobił na mnie wrażenie ten porządek i ten na każdym kroku uwydatniający się dobrobyt.

„Tak, widzi pan, rzekł do mnie pan Czarliński, pracuje i dorabia się Polak, gdy go nie gnębią i gdy się czuje równouprawnionym obywatelem państwa“.

Wszędzie przyjmowano nas nadzwyczaj gościnnie, mnie jako Alzatczyka i znajomego p. Czarlińskiego, tak samo jak jego. Tu poznałem, co to jest polska gościnność, w porównaniu do niemieckiej, która się na tem zasadza, że Niemiec liczy każdy kąsek, który się do ust kładzie.

Piękne to były chwile, które tam w Moddersprnit między Polakami spędziłem, dziś z przyjemnością o nich wspominam.



Do pieśni.

Pieśni ty wzleć pod niebiosa
I zawiśnij pośród chmur,
Oprzyj się zkąd spada rosa
I pozostań w szczytach gór.

I nie schodź tu na dolinę
Kędy biega szary tłum;
Ach! bo przekleniesz tę godzinę
I pozbędziesz się swych dum...

Czasem tylko nocną porą
Zstąp na czarną ziemię, w gaj
I z słowikiem nutę skorą,
Tysiącami tonów graj.

Wzlećże między kwiaty, lasy,
Gdzie się srebrny sączy zdrój —
Z dębem, klonem idź w zapasy,
Z niemi nutę rzewną strój.

Pieśni! lećże w zboża, w gaje,
Gdzie odwieczny kwitnie maj,
Tam gdzie luba ma przestaje
U niej graj, i graj, a graj...

Kraków, 5. 11. 99.

Karol Barke.



Z ojczystych stron.

XXXV.

Osieczno.

„Wróćmy, ach wróćmy do rodzinnej ziemi,
„Na groby przodków, na rodzinne pola,
„To wszystko nasze...“

Otoczone pagórkami, pomiędzy jeziorami, łąkami i ogrodami, leży w najpiękniejszej okolicy Księstwa Poznańskiego, małe miasteczko Osieczno. Na południe ciągnie się jezioro, mające 600 mórg obszaru, a jak w każdej romantycznej i uroczej okolicy, tak i tu przechowało się dużo podań z dawnych czasów. Niegdyś więc miała być na środku jeziora mała wyspa, a na niej stał kościół. Ale i wyspa i kościół znikły razu pewnego w głębi jeziora, a gdy rybacy płyną teraz po zachodzie słońca w tej stronie, słyszą uroczyste śpiewy z głębi wody. Długosz nazwał jezioro to „Wonieszko“.

Z drugiej strony wznoszą się góry grodziskie, z których prześliczny roztacza się widok na doliny, jeziora, pagórki, wsie i ogrody. Góry te przedzielone są wąwozem „Wydor“, który przed kilku laty został zamienionym na rodzaj parku, dziś jednak już trochę zaniedbanego. W zachodnim kierunku miasta są pagórki i szańce szwedzkie. Znaleziono w ich blizkości niedawno szwedzkie podkowy i rękojeście pałaszy.

Ziemia koło Osieczna jest gliniasta i marglowa. Gdy przed laty jeden z obywateli kopał studnią nad drogą, wiodącą z miasta do Świerczyna, znalazł w niewielkiej głębokości węgiel brunatny.

Początek Osieczna w dalekie sięga wieki. Już w czasach pogańskich była okolica ta zamieszkałą, czego dowodzą liczne pogańskie cmentarzyska i t. zw. „święte miejsca“, jakie się tutaj znajdują. Kapłani pogańscy obmywali ciała zmarłych w „świętym stawie“ i potem, spaliwszy je, chowali popioły w urnach w ziemi. W bliskości Osieczna istnieje do dziś jeszcze staw, zarosły trzciną i sitowiem, w którym obmywano prawdopodobnie ciała zmarłych pogan, o parę zaś set kroków dalej, odkryto przed kilku laty miejsce palenia ich, i to w kształcie kamiennego ołtarza albo stosu. Blisko Wulki znaleziono podobny staw, ale ołtarza szukano daremnie.

Mieszkańcy tej okolicy czcili głównie boginią piękności Ładę i boginią miłości Siewę. Przy zrównaniu jednego z pagórków na prawej stronie drogi pomiędzy Świerczynem a Grodziskiem, znaleziono niedawno ślady pogańskiego ogniska, na którem niegdyś palono ognie na cześć tych dwóch bogiń. (Sobótki.) Rzucano też wianki na wodę. Na dzisiejszym folwarku Chwałkowo, znajdowało się prawdopodobnie takie same ognisko.

Podanie niesie, że św. Wojciech nawracał tutejszych pogan, i że założył tu kilka kościołów, pomiędzy temi także kościół w Świerczynie. W 13 wieku nazwano miejscowość tę Osiecznem. Na zamku koźmińskim mieszkali wtedy rycerze łupiezcy, którzy słynęli daleko i szeroko z swoich niegodziwych czynów. Napadali oni i rabowali głównie niższą szlachtę i wieśniaków, ci zaś szukali pomocy i opieki u potężnego i sprawiedliwego właściciela Osieczna. Rycerze koźmińscy, pobici, musieli uciekać, a wdzięczni wieśniacy, nazwali zamek obrońcy „Odsieczą“ czyli Odsieczą, i ztąd powstała nazwa Osieczna. Właściciele warowni tej kilkakrotnie jeszcze spieszyli z pomocą uciemiężonym. Historya wspomina dwóch ostatnich rycerzy najezdników, Jana i Maćka Borkowiczów z Koźmina. Maćko został schwytanym i skazanym na śmierć głodową, Jana zaś, który poprzysiągł pomścić brata, schwytano także i ukarano śmiercią przez ścięcie.

Na połowie 14 stulecia był Maciej Borek, starosta wschowski, właścicielem Osieczna. Wybudował on kościół i założył szpital dla 12—16 chorych, na utrzymanie zaś księdza i chorych przeznaczył kawał pola, łąki i lasu. Kościół był drewniany, miał trzy ołtarze i stał tam, gdzie dziś jest „Pastewnik“. Na

końcu 18 wieku spaliło się wszystko, i świątynia nie została już odbudowaną, na miejscu jej tylko wystawiono krzyż na wieczną pamiątkę. Później przeszło Osieczno na własność rodziny Górków, których majątek rodzinny, Miejska Górka był już znanym w 13 wieku. Był to ród bardzo możny i bogaty, a z domu tego wyszło wiele wojewodów, kasztelanów i biskupów. Majątek ich był olbrzymi, posiadali rozległe włości na Litwie, na Wołyniu i w Wielkopolsce, a gdy onego czasu zawrzała wojna domowa pomiędzy Zborowskimi a Zamojskimi, stawili Górkowie 10,000 żołnierzy, uzbrojonych własnym kosztem. Tenże sam Górka, chcąc sobie zaskarbić względy szlachty, wydawał przez pewien czas 14,000 talarów tygodniowo na uczty i biesiady.

Do wielkiej liczby wystawionych i wyposażonych przez Górków kościołów, należy także kościół farny w Osiecznie, zbudowany w kształcie krzyża w stylu

— mówiono o nim, że wlewa w siebie całe beczki wina i nigdy się nie upija. Właścicielowi zamku zaimponowała ta umiejętność, to też pochwalił swego dworzanina i rzekł w obec wszystkich: „Wybierz sobie co chcesz z moich majętności, a dam ci to!“ Kilka miesięcy później, gdy dziedzic objeżdżał swoje włości w towarzystwie nowego dworzanina, ujrzał na środku pola kilka budynków, których tam dotąd nie było. — Co to jest? — zapytał zdumiony. — O panie, — odrzekł towarzysz jego z uśmiechem, — to jest kawał ziemi, którą sobie wybrałem za twojem pozwoleniem, a potrzebne budynki gospodarskie kazałem już wystawić. — Dobra myśl, — rozśmiał się dziedzic, i folwark tak został nazwanym.

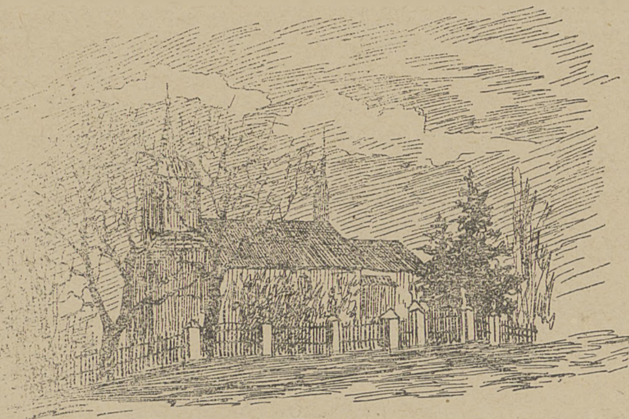
W czasach, gdy właściciele Osieczna przyjęli wyznanie luterskie, żyła w zamku pewna hrabina, tak gorliwa protestantka, że podwładnym swoim zakazała nawet pod karą śmierci wymówić imię

znański, Rogaliński, odprawiwszy mszę św. w klasztorze OO. Reformatów, za jej duszę, przywrócił jej wieczny spokój.

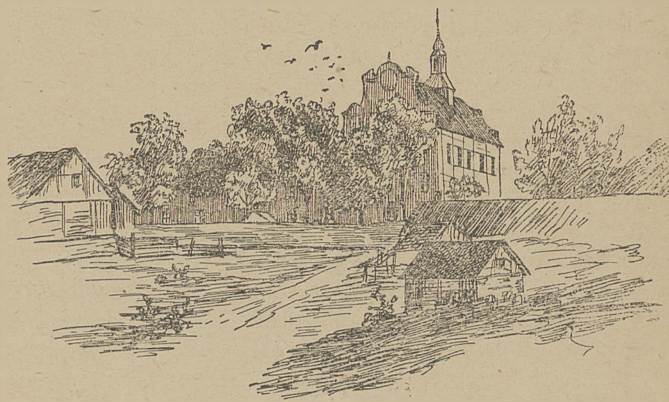
Rozmaite wieści krążą też o podziemnych gankach, w których nieprzebrane mają leżeć skarby, złożone tam przez Górków.

Na początku 17 stulecia należało Osieczno do Grudzińskich. Zygmunt Grudziński podarował miasto córce swej Konstancyi, żonie Olbrachta Przyjemskiego, który, gdy Karol Chodkiewicz szedł przeciw Turkom pod Chocim w r. 1621, uzbroił 1000 żołnierzy własnym kosztem.

W r. 1622 wystawił Przyjemski klasztor w Osiecznie i sprowadził do niego OO. Reformatów. W r. 1646 umarł i został pochowanym obok żony w kościele farnym, który odebrał lutrom i oddał katolikom. Następcą jego był zięć, Jan z Bnina Opaleński, wojewoda Brzeski. W r. 1665 nawiedził Osieczno straszliwy pożar, który nawet i klasztor zni-



Kościół w Świerczynie.



Klasztor w Osiecznie.

romańskim, w r. 1530. Wówczas też nadał król Zygmunt Stary Osiecznu przywileje miasta i prawo magdeburskie. Niemcom pozwalał się także tutaj osiedlać. — Mieszczanie nowego miasta uzyskali pozwolenie na odbywanie 4 jarmarków rocznie, a dokument wystawiony na to i podpisany własnoręcznie przez króla istnieje do dziś jeszcze, jak i dokument, tyczący bractwa strzeleckiego i rozmaitych cechów.

Prawem przepisane kary za przestępstwa były: płacenie pieniędzy i więzienie. Zbrodnie karano także więzieniem, ale obostrzonem „dybami“ i „kłodą“, stawianiem pod pręgierzem, albo śmiercią przez powieszenie. Szubienica stała w dolinie, po lewej stronie Jeziórek.

Za panowania Zygmunta Augusta przyjęli Górkowie wyznanie luterskie i oddali kościół lutrom. W r. 1627 umarł Stanisław Górka, ostatni potomek wielkiej tej rodziny. Podług kroniki Długosza stał nad jeziorem Wonieszko już w 13 wieku wspaniały zamek, w którym mieszkali dziedzice Osieczna. Do tego zamku wiążą się także liczne podania, kiedy one jednak powstały, tego nie wiadomo.

Niedaleko Osieczna leży folwark Dobramyśl, a o powstaniu tegoż istnieje następujące opowiadanie: Jeden z właścicieli zamku zaprosił raz całe grono znajomych i przyjaciół na ucztę, a pomimo, że sam nie pił dużo wina, to jednak nie szczędził trunków i cieszył się, gdy goście pili jak najwięcej. Jeden z jego dworzan celował w sztuce picia

„Marya“. A że wówczas panował już zwyczaj, że wieczorem schodzili się obywatele miasta na szklankę wina lub piwa, zdarzyło się raz, że jeden z mieszczan, któremu wino bardzo smakowało, rzekł do swoich sąsiadów: „zabiorę dziś kubek wina dla mojej Maryi“, (tak było imie jego żonie). Gdy się hrabina o tem dowiedziała, kazała nieszczęśliwego natychmiast powiesić. Nazajutrz, skoro okrutny rozkaz miał być spełnionym, uczuła nagle hrabina dziwny strach i niepokój — chciała zawołać na służbę, ale język wypowiedział jej posłuszeństwo, i od tej chwili zaniemówiła. Pobiegła więc na podwórze, i na znaki pokazała, że skazanego nie mają wieszać, ale było to już zapóźno. Ludzie przezwali ją odtąd „złą hrabiną“. — Aż do końca życia pozosłała niemą.

Z licznych owych podań przechowało się też jeszcze jedno o niewiernej żonie pewnego właściciela zamku, który wyjechał na wojnę, zostawiając swoją młodą i piękną żonę pod opieką doktora, Włocha. I gdy po długiej nieobecności wracał rycerz do domu, wyjechał mu Włoch naprzeciwko, otruł go, i zniknął. Po roku zjawił się znowu w zamku, aby zaślubić piękną wdowę, ale obywatele miasta, oburzeni tą bezczelnością, przyszli tłumnie na zamek, żądając wydania im mordercy ich dzielnego pana. Włoch ocalił się ucieczką, niewierna zaś kobieta przyznała się do winy, i na pokutę za grzechy zamknęła się w wieży, gdzie też wkrótce umarła. Duch jej pokutował długo po zamku, dopiero dziekan po-

szczył, ale Jan Opaleński zabrał się zaraz do odbudowania go. Nie długo przecież mógł się poświęcać temu świątobliwemu dziełu, albowiem poszedłszy z Sobieskim na odsiecz Niemcom, zginął pod Wiedniem śmiercią bohaterską, a wybudowanie klasztoru dokończyła wdowa po nim, wojewodzina Zofia Opaleńska.

Klasztor, zbudowany z drzewa, zaczął się niezadługo chylić ku upadkowi. Już w r. 1729 położył Przeor Reformatów, Ludwik Janowski, kamień węgielny pod nowy klasztor, murowany, istniejący do dziś jeszcze, a koszta wystawienia poniósł ówczesny dziedzic Osieczna, Józef Mycielski, starosta Kruszwicki.

Wnętrze kościoła klasztornego jest nadzwyczaj piękne i wspaniałe. Ołtarze, konfesyonały i ławki są prawdziwemi arcydziełami sztuki rzeźbiarskiej, w której, podług kroniki klasztoru, celowało mianowicie dwóch zakonników, Tomasz Mielnarski i Antoni Sikorski.

Pomiędzy kosztownościami w skarbcu znajduje się srebrny krzyż wysadzany brylantami. Darowała go klasztorowi Karolina Mycielska w r. 1740.

W r. 1869 wypędził rząd pruski zakonników, w klasztorze zaś urządzono zakład demerytów dla księży kotolickich. który do dziś jeszcze istnieje. Dozór nad demerytami,, których przez wszystkie te lata było wogóle 3, miał dyrektor, ustawiony przez konsystorz, obecnie powierzono urząd ów proboszczowi Osieczna, dziekanowi Leszczyńskiemu.

Gdy Osieczno zostało miastem, powiększył się zaraz dobrobyt obywatelski.

Stare nazwy ulic, n. p. Garncarska, Rzeźnicka i t. d. dowodzą, że przemysł i handel na wysokim stał tutaj stopniu. Sukienników było także dużo, tak samo jak młynarzy i szewców.

Na drodze do Gołembic znajduje się jeszcze staw, Babidół, w którym dawnemi czasy topiono czarownice. W r. 1707, gdy gwałtowny pożar zniszczył Leszno, przeniosła się część mieszkańców miasta tego do Osieczna. Nowe życie zakwitło tutaj, ale świetność trwała nie długo. Podczas wojny siedmioletniej zajęli Osieczno Prusacy, Moskale wyparli ich ztąd i podpalili miasto. W r. 1793 wybuchnął po raz drugi pożar, na ulicy zamieszkałej przez żydów. Większa część domów spaliła się ze szczętem, a nowe, które potem wybudowano, były małe i liche. W r. 1859 spalił się kościół farny. Dziekani Zając i następca jego Leszczyński wystawili nowy, zbierając przez długie lata dobrowolne składki. Najpiękniejszą ozdobą nowej świątyni jest obraz Chrystusa. Żydów, których dawniej było w Osiecznie dosyć dużo, nie ma teraz wcale. Mieszkańców liczy miasto obecnie blisko 2,000.

Kronikarz „Pracy“.



Anioł.

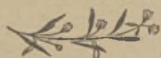
Przez me niebo raz Anioł przeleciał skrzydlaty.
Nad czołem gwiazda, z gwiazdy płynęły promienie
Aż do duszy, sprawiając dziwne serca drżenie,
Przed myślą tajemnicze rozjaśniając światy,

Gdzie brzmią pienia urocze, gdzie płonią się kwiaty;
Wszystko perli się, świeci jak drogie kamienie...
A ów Anioł na licu cudny nieskończenie,
A odziany w jutrzenkę i złote szkarłaty.

Gdym w czarowne zjawisko patrzał jak zaklęty,
Przez myśl przemknęło pytanie: Co to za świat cudów,
Co za postać urocza, za zjawisko wieszcze?
W tej chwili Anioł w oku żar rozpłonił święty
I rzekł: „Jam twem ocknieniem i siłą twych trudów!“
I zniknął.— Lecz ma dusza dziś widzi go jeszcze.

Tarnów, Galicya 15. 10. 99.

Józef Woynarowski.



W Tatry koleją.

Życzenia miłośników uroczych Tatr, iście czarującego zakątka, Zakopanego, nareszcie się spełniły. We środę ubiegłą, jak już o tem donosiły telegramy, otwarty został ruch całkowity na linii Chabówka — Zakopane.

Przez ostatnie kilka dni komisya rządowa odbyła ścisłe badanie kolei i toru, skonstatowawszy zaś prawidłowość robót, wydała pozwolenie, na otwarcie ruchu na tej linii. Po odbytem też we środę rano, o godz. 9-ej nabożeństwie w kościele zakopiańskim, na którem obecni byli członkowie komisyi, wydziału krajowego, przedsiębiorstwa budowy i personał kolejowy, puszczony został w ruch pierwszy pociąg osobowy z Zakopanego do Chabówki.

Pociąg ten przybył prawidłowo według rozkładu do Chabówki o godz. 2-ej po południu. Wagony były szczelnie przepełnione.

Uroczystego otwarcia nie było, odłożono je bowiem do przyszłego lata.

Poniżej podajemy niektóre szczegóły, dotyczące budowy kolei.

Kolej ma długości 44 kilometry, znajdują się zaś na niej następujące stacye: Raba wyżna, Sieniawa, Lasek, Nowy Targ, Szaflary, Biały Dunajec, Poronin i Zakopane.

Od szeregu lat, starał się o koncesyą na tę linię właściciel Zakopanego, hr. Władysław Zamoyski, projektując ją pierwotnie jako wązkotorową. Natrafiwszy na trudności w zastosowaniu wązkiego toru, niezrażony, energicznie dążył do wykonania swej myśli, uczynienia Tatr przystępniejszemi i podniesienia rozwoju przemysłowego i gospodarstwa leśnego tamtejszej okolicy. Wreszcie uzyskał 4 listopada 1897 r. koncesyę na tę kolej.

W zabiegach swych hr. Zamoyski znalazł silną pomoc w wydziale krajowym, na wniosek którego sejm zaliczył tę kolej do pierwszego programu kolei wybudować się mających za poparciem materyalnem kraju.

Kapitał imienny kolei wynosi 2,900,000 złr., a dostarczono go w drodze pożyczki, gwarantowanej przez kraj w sumie 1,130,000 złr. Do uzyskania funduszów przyczyniły się prócz osób prywatnych jeszcze: powiat nowotarski, gmina Zakopane i tamtejsza stacya klimatyczna.

Budowę kolei wykonało przedsiębiorstwo Gwalbert Ziembicki, E. Gross i spółka, według planów, wypracowanych przez krajowe biuro kolejowe, w którego też ręku spoczywało naczelne kierownictwo budowy, jakoteż techniczne zastępstwo koncesyonaryusza.

Ze strony rządu projektowane jest połączenie linii kolejowej z węgierską koleją doliny Orawy; niezdecydowaną jest dotąd sprawą, czy połączenie to będzie miało punkt wyjścia z Nowego Targu, czy też z Zakopanego. Podczas swej ostatniej sesyi, sejm oświadczył się za linią z Zakopanego. Gdy nie ma żadnych przeszkód w wybudowaniu tej linii żądanej przez kraj, przeto spodziewać się należy, że miarodajnem dla zarządu będzie zdanie reprezentacyi kraju, poparte nadto uchwałą sejmową subwencyonowania przedłużenia koleji Chabówka — Zakopane. *W.*



To i owo.

Niemałą sensacyę wywołała w Niemczech broszura p. Teodora Brix'a, wydana pod znamiennym tytułem: „Was in dem Lande der Denker und Dichter passiren kann. Ein Wort über die Schulprügler und ihre Gönner als Beitrag zur Goethefeier“. („O tem co wydarzyć się może w kraju myślicieli i poetów. Słówko o siepaczach szkolnych oraz ich poplecznikach, jako przyczynek do jubileuszowych uroczystości Goethego“).

Autor broszury wytacza przed forum opinii wypadek, przypominający głośną sprawę Pudliszkowską. Wypadek ten zdarzył się w Schönebergu pod Berlinem: uczeń szkolny zmarł po ciężkiem pobiciu przez nauczyciela. W obu wypadkach opinia publiczna mocno była wzburzoną, lecz w obu wypadkach nauczycielom uszło to bezkarnie.

Rozprawiwszy się ze zwolennikami kary cielesnej w szkole w bardzo ostrych wyrażeniach i stwierdziwszy, że zdziczenie umysłu i uczucia, które się w nich zaznacza, jest owocem militaryzmu i kultu siły, wypaczającego charakter niemieckiego narodu, autor traktuje w osobnym rozdziale sprawę lekceważącego załatwienia przez sejm pruski znanej interpelacyi prezesa Koła polskiego, Stanisława Mottego.

(Interpelacya ta dotyczyła, jak wiadomo, kwestyi kar cielesnych w szkole i zmierzała ku temu, aby spowodować ministra oświaty do przypomnienia nauczycielom odnośnego reskryptu, który ogranicza prawo cielesnego karania dzieci szkolnych.)

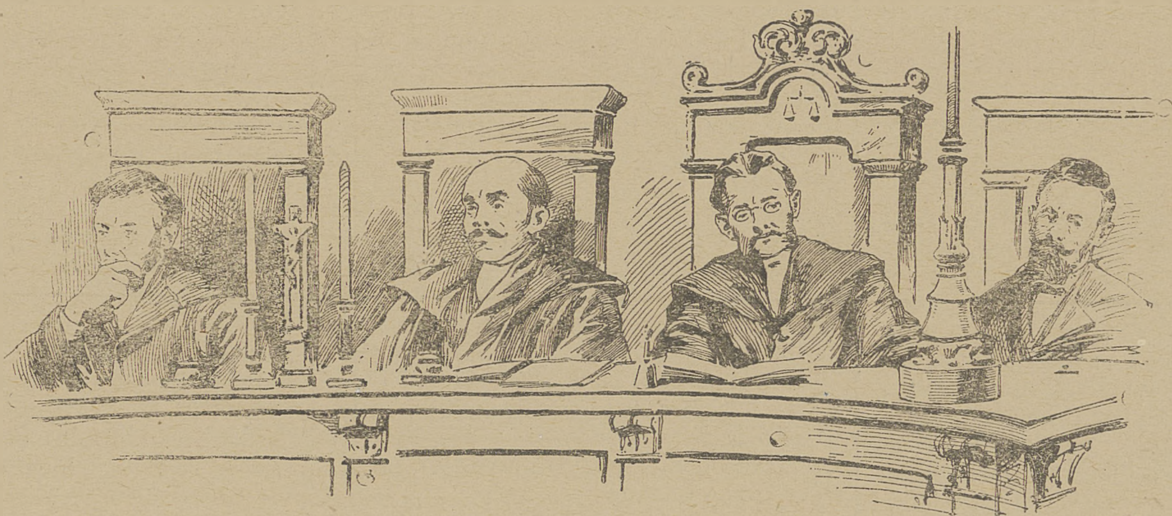
„Wszystko jednak — pisze p. Brix — przewyższa mojem zdaniem haniebny, niemieckie poczucie narodowe ciężko zawstydzający sposób traktowania tej sprawy w izbie deputowanych, oraz kampania przeciw reskryptowi ministra oświaty. Gdyby mi kto był przedtem powiedział, że sprawa taki weźmie obrót, nigdybym nie był mu wierzył. A gdyby obcy, nie Niemiec, był zapowiedzał możliwość takiego przebiegu sprawy, byłbym to uważał za obrazę niemieckiego narodu. Do punktu kulminacyjnego doszły niesprawiedliwość i zaślepienie, gdy amatorstwo kija związało się z narodowym szowinizmem. Przez bezwzględne oddalenie wniosku polskiego sprzeniewierzyli się nasi posłowie wszelkim dobrym tradycyom niemczyzny. Postępowanie sejmu w tej sprawie przewyższyło jeszcze wszelkie niesprawiedliwości, jakie wyrządzono Polakom i Duńczykom przez systematyczne odrzucanie ich skarg. Na zbicie wywodów polskich nic prawie nie przytoczono Niema wcale powodu powątpiewać o prawdziwości strasznych opisów stosunków szkolnych na wschodzie. Co warte są oficyalne śledztwa i zaprzeczenia, jaki dowód siły ma argumet, że uwolnienie oskarżonych świadczy o nieprawdzie zażaleń, uczy nas wypadek w Schönebergu i inne doświadczenia.“

„Ale duch stronniczy opiera się rozpoznaniu prawdy. Fałszywą zasadę powagi rozszerza się także na spory narodowe. Nie pozwala się na bezwzględne wykrywanie niedomagań szkoły, ponieważ, jak mówią, przez rewelacye takie osłabiłoby się powagę niemczyzny i rządu niemieckiego. Że panująca narodowość może utrzymać swoją powagę tylko przez umiarkowanie i ścisłą sprawiedliwość, tego miarodawcze koła niestety nie rozumieją“.

Autor kończy temi słowy:

„Przez-tolerowanie wybryków nauczycieli, działających na wschodzie, które

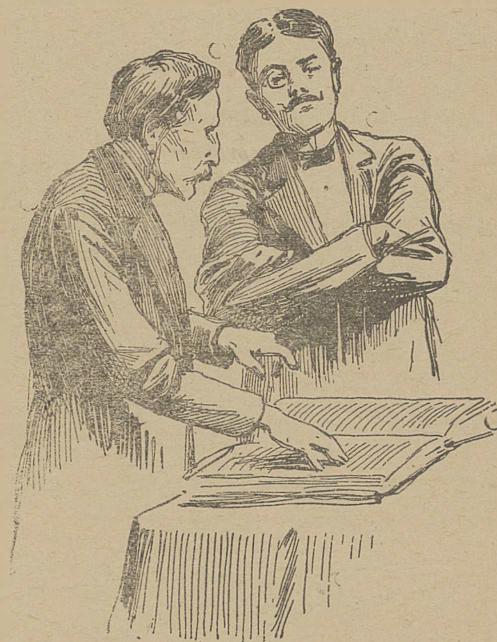
Proces galicyjskiej Kasy oszczędności we Lwowie.



Radzca Cetnarski. Radzca Gołkowski. Radzca Oleński. Radzca Lekczyński.
Członkowie sądu.



Wędrychowski odpowiada na pytania; obok Karpiński.



Wędrychowski i obrońca Dr. Aszkenazy.



Szczepanowski.



Wędrychowski.



Karpiński.



Fuhrmanowa.

poseł Motty zapewne nie bez racyi łączy z nierozumną gorączką germanizacyjną, wschodzi wśród ludności posiew nienawiści, które złe wydać może owoce. Łączenie amatorstwa kija z narodowym szowinizmem polega na duchowem pokrewieństwie. Jest to jeden i ten sam błąd, któremu hołdują amatorzy kija i szowiniści, błędem tym jest przecenianie skuteczności gwałtów.“

Taka jest mniej więcej myśl zasadnicza broszury, wydanej w Berlinie. nakładem Hermana Walthera. Poleceamy ją wszystkim amatorom kija, jako środka pedagogicznego w „państwie poetów i myślicieli.“

* * *

W surmę bojową uderzył znowu znany adwokat hakatystów Wagner, wygłaszając na posiedzeniu grupy hakatystycznego związku „Ostmarkenverein“ wykład p. t. „Kupcy niemieccy a Polacy“. Uderzał on na Polaków, zarzucając im, że zwalczają Niemców na drodze pokojowej, tworząc zwarty pierścień pod względem ekonomicznym i politycznym, i że nie chcą się poddać pod wpływ i panowanie niemczyzny. Wylewał rzewne łzy nad postępowaniem kupców niemieckich, z których kilku nawet w Berlinie ulega parciu Polaków i załatwia z nimi interesa przy pomocy polskiej korespondencyi. Wielu umieszcza nawet napisy polskie nad składami lub uwagi: „tutaj rozmówić się można po polsku“ i t. d. Najbardziej irytuje mówcę zarządzenie, zaprowadzone w kilku wielkich firmach i w pewnym wielkim browarze berlińskim, nakazujące, ażeby personał i zastępcy firmy nie należeli do „Ostmarkenvereinu.“

W końcu uderzył na stosunki w Sobotach, znanych wodach morskich nad Bałtykiem; wielce mu się nie podobało, że tam jeszcze Polacy mieszkają, a inni przybywają z dalszych stron dla poratowania zdrowia. Wody te powinny mieć — wołał mówca — charakter wyłącznie niemiecki; teraz się rzeczywiście nie wie, czy to niemieckie, czy polskie wody. Wszędzie rozlega się mowa polska; Polaków zaś nie można zmusić niestety do mówienia po niemiecku w życiu prywatnem. Zakończył wreszcie p. Wagner apostrofą do Gdańska, który, jako pierwsze miasto handlowe w okręgu zamieszkiwanym przez ludność mieszaną wystąpić powinien przeciwko „uroszczeniom“ Polaków w Sobotach, pamiętając o dawnem swem znaczeniu, jako starodawne niemieckie miasto hanzeatyckie.

* * *

Dzienniki amerykańskie rozpisują się o pewnym czarnym milionerze, nazwiskiem Maholm Harry Wellmann. Ma on całemu Nowemu Jorkowi imponować elegancyą swych garniturów i wogóle całem wzięciem się, ogromnie wytwornem. Inna rzecz, że Maholm Harry Wellmann bajońskie sumy wydaje na swe toalety. Pozwolić sobie na to może. Czarny ten milioner rozpoczął swą karyerę jako lokaj jednego z największych handlarzy zboża w Chicago. Oszczędny aż do skąpstwa, mógł już rozpocząć interes mając lat 23. W interesie tym obracał 50,000 korcami zboża, co mu przyniosło czystego dochodu 85,000 franków rocznie. Potem już bogactwo jego rosło jak lawina, zwłaszcza, że Wellmann jako znawca koni cudownie zwykł był wygrywać na wyścigach.

Za to teraz czarny milioner może sobie pozwolić na żywot Krezusa i Sardanapala. Oto niedawno dał on dla całej złotej obojga płci młodzieży Nowego Jorku wspaniały obiad. Przy końcu obdarował każdego z panów małą srebrną figurką swego najpiękniejszego konia, każda zaś dama otrzymała parasolkę ze szczerozłotą rączką. Po obiedzie czarny milioner pokazał gościom skład swej garderoby. Jak wielką jest ona, wystarczy powiedzieć, że 50 ludzi mogłoby przez miesiąc z niej korzystać, a mimo to każdego dnia mieć na sobie zupełnie inny garnitur.

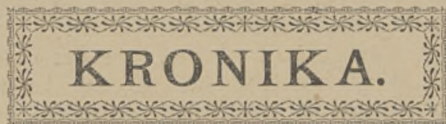
To też nic dziwnego, że Maholm Harry Wellmann, czarny milioner, który codziennie 5 razy zmienia garnitur, a 6 razy trzewiki, olśniewa cały Nowy Jork bogactwem, przepychem i wytwornością swych toalet, nadaje ton i modę, a jego krawcy i szewcy są w prawdziwem oblężeniu. Każdy bowiem ze złotej młodzieży Nowego Jorku chce być obecnie tak ubrany, jak Maholm Harry Wellmann, były lokaj z Chicago. *..ski.*

Wszechmocność.

Wznieś się myślą tam w błękity
Między słońca i księżyce,
Gdzie gościniec z gwiazd ubity,
Skąd przychodzą błyskawice.
Tam myślami toń w zadumie
I wszechmocność waż w rozumie.
Próżno, darmo łamiesz głowę,
Mózgi suszysz nadaremno —
Spuść się z niebios o połowę
Tu na ziemię — a podemną:
Rąbek tylko tajemnicy
Bóg uchyla z swej skarbnicy...

Kraków, 5. 11. 99.

Karol Barke.



Pomimo, że słońce złoci nam mury i dachy, że ogrody zamiejskie stroją się w resztki zrudziałej zieleni, smutny i zniechęcony siadam do dzisiejszej kroniki. Piękna nasza jesień, skąpa w chmury i wichry, powinna usposabiać wesoło, cóż kiedy zamiast przeciągłego i ponurego świstu wiatru, wpada mi w ucho klekot swarów poznańskich. Jestto gorszem zaprawdę od wichrów, mgieł i dżdżów jesiennych. Atrament w niektórych naszych redakcyach zamienia się w żółć i bryzga naokoło goryczą i zjadliwością. Kłócimy się i wywijamy zawzięcie obosiecznym mieczem, grożąc nim nawet kobietom i okrywając się śmiesznością w oczach ludzi rozumnych, a nadewszystko dobrej woli. Zaledwie pojawił się jeden odczyt, zaraz prasa wytoczyła wszystkie działa i dalejże w niego bombardować. Po pierwszym napadzie następuje drugi groźniejszy, z powodu zaczepki „Żywego dziennika“, tutaj już nie godzą w szeregi, ale, jak za czasów Horacyuszów i Kuracyuszów, stawają do boju jednostki i wygrażają sobie, doprawdy bynajmniej nie po rycersku. Zaczepka rozśmieszyła czytelników lekką złośliwością, odpowiedź zaś oburzyła bezwzględną brutalnością, w której czuć było chętkę bitwy na pięście. Na szczęście w prasie siła brutalna nie stanowi o zwycięztwie.

Wszystko się tak składa, żeby miniony tydzień, zapisał się ponuro na kartkach kronikarza. Obok surm bojowych rozbrzmiewają pieśni żałobne dnia zadusznego, wszyscy dążą na cmentarz ze światłem i kwiatami. Groby gorzeją, ale trudno dojrzeć, ile w tych migocących światełkach drży resztek ludzkich uczuć, a ile próżności? Niejedna rodzina, która przez cały rok, nie miała za co zakupić mszy św. za drogich umarłych, kupuje świeczki i zatyka je na grobie, ażeby nie być gorszą od drugich. Na twarzach nie widać skupienia, poważnego nastroju, publiczność krąży pomiędzy grobami i przygląda się im, jakby zwykłej Sedańskiej iluminacyi. Z rozrzewnieniem stanąłem nad grobem dawniejszego redaktora „Dziennika Poznańskiego“; zdawało mi się, iż światełka splatają się z sobą i łączą, tworząc gorejący łańcuch serc tych maluczkich, których on otaczał taką miłosną opieką.

I grób ten, pomimo żałoby, nasunął mi jaśniejsze myśli i przypomniał pokrewne duchy, ochotne do pracy społecznej. Weselszy wracałem do miasta myśląc o „wykładach ludowych“ i szanownych prelegentach, rozsiewających zdrowe ziarno pomiędzy lud nasz.

S.





29-go października.

Ostatniego czwartku wznowiono graną już w tym sezonie francuzką komedyą p. t. „Wesele Figara.“ Nie mieliśmy dotąd sposobności pomówienia o tej komedyi, a przecież zasługuje ona najzupełniej na naszą uwagę.

Autor jej głośny w swoim czasie t. j. w drugiej połowie ośmnastego wieku Beaumarchais pierwszy wprowadził na scenę znaną dzisiaj powszechnie postać Figara, cyrulika sewilskiego; sam napisał dwie komedye, których bohatyrem jest Figaro, owe dowcipne i sprytne factotum. Przezeń stworzoną figurę zużyli potem kompozytorzy Mozart i Rossini do swoich operetek i Figaro stał się w ten sposób jedną z popularnych i typowych postaci teatralnych. Lecz nie w tem leży istotne znaczenie komedyi Beaumarchais'go; daje ona zarazem jakoby odbicie przedrewolucyjnych stosunków społecznych i towarzyskich we Francyi, przedstawiając w śmiesznem świetle ich ujemne strony jest ostrą satyrą na ówczesną demoralizacyą. Hrabia Almaviva nie jest w komedyi tej tylko pierwszym lepszym arystokratą o słabostkach ludz-

kich, ale wyobrazicielem całej kasty, którą chciał autor w najgorszem przedstawić świetle, jako tę kastę, która posiadając majątki, wpływy i urzędy jedynie dla swoich samolubnych celów je zużywa. Figaro zaś, ten cyrulik dorabiający się zaradnością i sprytem fortuny i szczęścia, jest przedstawicielem stanu trzeciego, zdobywającego sobie wówczas prawo obywatelstwa. Występujący w komedyi sędzia jest karykaturą sędziowskiej powagi z tych czasów, w których urząd każdy, szczególnie też sędziowski sprzedawano osobistościom najniegodniejszym i najmniej zdolnym, byleby odpowiednią sumę kasie państwowej zapłacili. Wiele jest w komedyi tej jeszcze drobniejszych alluzyi do ówczesnych niezdrowych stosunków; autor zwracając na nie uwagę przyczynił się częściowo, jak tylu innych współczesnych mu pisarzy, do wybuchu rewolucyi francuzkiej, a przynajmniej do przyspieszenia jego; w tem leży historyczne znaczenie tej komedyi, będącej niejako obrazem obyczajowym z pod końca ośmnastego wieku.

Na nas działa dzisiaj głównie dowcip i komizm tej komedyi i zabawia nas zręczna choć nieco naiwna intryga, której ofiarą pada hrabia. Pan ten posiada głównie dwie wady: lubi zbytnio ładne dziewczęta i nawet cudze żonki, a o własną żonę strasznie jest zazdrosny i ciągle ją o niewierność posądza; wskutek tych wad popełnia niejedną śmieszność i niedorzeczność. Otóż, aby go z nich wyleczyć, na umówioną przezeń schadzkę z Zuzią, pokojówką hrabiny, a przyszłą żoną Figara, idzie hrabina; zawoalowała się tak, że hrabia jej nie poznaje i zwiedziony strojem i głosem niby to Ziuzi obsypuje własną żonę pieszczotami — pod adresem Zuzi; w ten sposób wpada w zatrzask przez samego siebie zastawiony i nie pozostaje mu nic innego jak żonę o przebaczenie prosić, a Zuzię oddać w ręce Figara. Czy hrabia się poprawił? zapyta może ciekawy czytelnik; to może nam być obojętne, tak jak obojętnem było Beaumarchais'mu.

Dyrekcyi winszować można tego przedstawienia; wystawa sztuki była dobrą, dekoracye gustowne, gra artystów pełna życia, taktu i harmonii; nie było nigdzie niesmacznej szarzy, w którą przy tej właśnie sztuce tak łatwo popaść.

5-go listopada.

W sobotę dnia 28-go października wystawiono na naszej scenie premierę. dramat francuzki de Curela p. t. „Lwia uczta.“

Jest to wstrząsający do głębi dramat; wprawdzie zbyt wiele w nim rezonowania na temat różnych socyalnych zagadnień, ale przecież te rozprawy nie stanowią treści sztuki i wprost naiwnem jest żądanie czy zarzut, jaki w prasie tutejszej podnoszono, że nikt jeszcze dramatem kwestyi społecznej nie rozwiązał i nie rozwiąże. Zgoda; czy jednakowoż tak trudno spostrzedz, że owe rozprawy obniżające niepotrzebnie wartość literacką sztuki, że ów tłum robotników śpiewających „Sztandar czerwony“ jest tylko tłem ogólnem, na którem rozgrywa się straszliwy dramat w sercu bohatyra? Ten to dramat jest treścią sztuki i dla niego autor ją napisał; a czyż może być coś więcej tragicznego, jak życie stargane młodego człowieka, który się oddał idei jakiejś, sądząc, że jest wielką, a teraz widzi jej nikłość i bezpłodność swoich zabiegów? Nad nim to, jak kruki nad świeżym trupem, kraczą robotnicy swój śpiew, nie po to, by swoje zwycięztwo ogłosić, lecz jemu i dążeniom jego hymn pogrzebowy zaśpiewać; tego, zdaje się, nie mogła pojąć tutejsza krytyka i dla tego ujemnie oceniła dramat, dając autorowi tę niezrównaną radę, by w miejsce dramatów pisywał uczone rozprawy!

Gra artystów w tej sztuce była dobrą począwszy od roli bohatyra, pana Kosińskiego, a skończywszy na ostatnim robotniku. Znakomitą wprost była reżyserya tłumu w akcie piątym; tłum ten był jedną żywą całością, a na tle jego wydatnie rysowały się sylwetki pojedyńczych postaci.

Nie możemy się równie pochlebnie wyrazić o wystawieniu „Mazepy.“ Wojewoda pana Rygera, należący do jego ról popisowych, znanym jest dostatecznie, nie potrzebujemy szczegółowo o tej kreacyi jego się rozpisywać; natomiast „Mazepa“ grany przez p. Kosińskiego wypadł nieszczęśliwie; jest to niewątpliwie rola bardzo trudna, wymagająca połączenia w sobie trzech pierwiastków: Mazepa powinien być zarazem i trefnisiem i bałamutem i bohatyrem, którego atamaństwo kozackie czeka; tej to troistości nie było widać w grze pana Kosińskiego. Amelia pani Jakubowskiej była zbyt ckliwą i sentymentalną, za mało w niej było „wojewodziny“; nawet owe słowa ze skargi przed królem: „ja jeszcze dlań będę za dumna, za czysta,“ wyszły z jej ust bez wzniosłej dumy.

Pan Jakubowski umiał niesympatyczną w sztuce tej rolę Jana Kazimierza grać tak, że przytłumił jej strony ujemne, pan Adwentowicz w roli Zbigniewa był pełnym szczerości i wdzięku.

Dr. Este.



Serce czy korona.

Było to w r. 1717-tym. Na terasie zamku oławskiego przechadzały się dwie osoby, młoda, piękna dziewczyna, i dorodny, wykwintnie ubrany młodzieniec.

— Więc będziesz mi wierną, księżniczko? Dotrzymasz przyrzeczenia, cokolwiekbądź się stanie? — mówił młodzian, drżącym z wzruszenia głosem.

— Tak, najjaśniejszy panie! — szepnęło dziewczę ze łzami w oczach.

— Nie nazywaj mnie tak, proszę! Nie należy mi się jeszcze ten tytuł, muszę go sobie najpierw zdobyć! Wywalczę koronę dla ciebie, ukochana — nie będzie to łatwem, ale myśl o tobie doda mi sił i odwagi. O Klementyno, gdybyś wiedziała, jak ja cię kocham!

— Nie więcej, niż ja ciebie.

Młodzieniec ucałował gorąco białą rękę dziewczyny.

— Dziękuję ci za te słowa, — zawołał żywo. — Dajesz mi największe szczęście, o jakiem nawet marzyć nie śmiałem. Myślałem, że będę musiał opuścić dom twego ojca z rozpaczą w sercu — byłaś dla mnie okrutną, najdroższa, ale dziś — oh, jakże dziękuję Bogu za Jego dobroć!

— A ty nigdy mi nie mówiłeś, że mnie kochasz, — rzekła Klementyna Sobieska z słodkim uśmiechem.

— Bo się obawiałem! Wiesz, jakie nam grożą niebezpieczeństwa — dla tego przybyłem tu pod obcem nazwiskiem. Tu jestem tylko biednym rycerzem Saint-George — nie mogłem więc przypuszczać, abyś takiemu nieznanemu człowiekowi oddała serce twoje!

— Nie kocham też wcale przyszłego króla Anglii, tylko właśnie rycerza de Saint-George! Czy myślisz, że zostałabym twoją, gdybym cię nie kochała? O nie! Korona nie ma żadnego dla mnie uroku — bez miłości!

— Ach, jakie to szczęście być kochanym dla siebie samego! Idźmy teraz do twego ojca Klementyno, i prośmy go o błogosławieństwo. Wiem, że nam tego nie odmówi!

Młodzieńcem tym był Jakób Stuart, pretendent do tronu angielskiego, dziewczyną zaś Klementyna, wnuczka króla Jana Sobieskiego. Ojciec jej, widząc, że nie zdoła wydrzeć korony polskiej królowi Augustowi, zrzekł się wszelkich pretensyi do tronu i osiadł z rodziną w zamku Oławskim, na Slązku, wiodąc tu ciche życie szlachcica wiejskiego. Z tem wszystkiem, mając w swych żyłach krew królewską, nie widział żadnej przeszkody w połączeniu się córki jego z pretendentem do tronu angielskiego, Stuartem, i z radością przyjął prośbę Jakóba o rękę Klementyny.

— Ale małżeństwu waszemu rozmaite grożą przeszkody, — rzekł w końcu.

— Wiem o tem, — odpowiedział Jakób spokojnie. — Przeciwnik mój Jerzy I nie pozwoli nigdy, abym się ożenił. Francya i Niemcy są jego sprzymierzeńcami — Austrya jest także po jego stronie. Ale żona waszej książęcej Mości, jest siostrą cesarzowej — matki Eleonory, która wielki wywiera wpływ na cesarza Karola VI. Może ona wstawi się za nami. Zresztą i ja mam przyjaciół, i będę walczył do upadłego o moje prawa!

— Więc co chcesz uczynić, Najjaśniejszy Panie? — zapytał Sobieski.

— Ożenię się bądź co bądź z Klementyną! Nikt na świecie nie może mi tego zakazać.

— Nie, nie — szepnął książę uradowany, że córka jego znalazła takiego kochającego i dzielnego narzeczonego.

Nazajutrz obchodzono na zamku uroczyście zaręczyny młodej pary.

Ale szczęście to nie trwało długo.

Cesarz Karol VI dowiedział się o zamierzonem małżeństwie Jakóba i za namową Jerzego I angielskiego, napisał własnoręczny list do księcia Sobieskiego, aby pod żadnym warunkiem nie zgodził się na ślub córki z Jakóbem, jeżeli nie chce wywołać nowych zaburzeń w Europie. Szczęście dwojga młodych powinno być poświęconem dla pokoju narodów.

Ale Sobieski nie dał się tem zastraszyć. Kochając córkę nadewszystko, pragnął jedynie jej szczęścia, a że narzeczeni oświadczyli stanowczo, że wolą umrzeć, niż się rozłączyć, przeto postanowiono udać się do Papieża, aby uzyskać jego pozwolenie na odbycie ślubu we Włoszech, które obok Rosyi, Szwecyi i Hiszpanii sprzyjały księciu Stuartowi.

W tym celu wybrał się Jakób nie-

zwłocznie do Rzymu — Klementyna zaś została w Oławie i nic nie zdradzało narzeczonych. W tajemnicy jednak czyniono najrozmaitsze przygotowania, tak, jak gdyby część chociaż książęcej rodziny w daleką i długą miała się wybrać podróż.

— — — — — — — — — —

W październiku tego samego roku zajechała przed hotel „Pod złotą różą“, w Innsbruku, kareta zaprzężona w cztery dzielne konie, a z niej wysiadły dwie panie, i znikły szybko w poprzednio dla nich zamówionych pokojach. Była to księżna Sobieska z Klementyną. Dziś miały tu zanocować i nazajutrz wyjechać dalej, do Bolonii, gdzie na nie czekał Jakób. Podróż ich trwała już dni dziesięć. Opuściły Oławę w największej tajemnicy, i aby szczęśliwie dojść do celu, o wiele dalszą wybrały drogę, przez Saksonią i Bawaryą — Jakób bowiem radził im unikać o ile możności ziemi austryackiej, obawiając się, aby tam jakich nie doznawały nieprzyjemności. Cesarz Karol nie chciał ani słuchać o pojednaniu się z Stuartami, i groził nieustannie Sobieskiemu swoją niełaską, w razie, gdyby Klementyna została rzeczywiście żoną pretendenta.

Aż do chwili obecnej szło wszystko dobrze i ani księżna, ani córka jej nie obawiały się niczego. Ale chcąc się dostać do Włoch, musiały koniecznie przejeżdżać przez część Austryi, i pomimo że jechały pod obcem nazwiskiem, miał je tutaj spotkać niespodziewany, więc tem sroższy cios...

Zaledwie zrzuciły płaszcze i rozgościły się w pokojach hotelu, gdy oznajmiono im przybycie hrabiów Lodrona i Sonnberga, to jest, tajnego radcy cesarskiego i komenderującego generała Tyrolu.

— To musi być omyłka — rzekła księżna — nie znamy tych panów!

— Ale oni mówią, że muszą się koniecznie widzieć z księżną Sobieską i jej córką — powtórzył gospodarz.

— Nie nazywamy się Sobieskie, tylko Wielińskie! Jesteśmy zmęczone podróżą i nie przyjmujemy gości.

Gospodarz wyszedł i wrócił po chwili.

— Panowie ci nie odchodzą — rzekł. — Przybyli tu z rozkazu cesarza!

Klementyna poznała niebezpieczeństwo i z głośnym płaczem upadła na ławkę. W tejże chwili stanęli obydwaj wysłańcy cesarza w pokoju. Księżna, nie tracąc przytomności, pokazała im swoje papiery, wystawione dla pani Wielińskiej i jej córki, i starała się przekonać ich, że się mylą co do jej osoby.

— Wszystko w porządku — rzekł hrabia Lodron z uśmiechem — ale my wiemy bardzo dobrze, kto panie jesteście. Od dwóch dni czekamy tu na Waszą Książęcą Mość. Nasz cesarz kazał wyrazić swoją radość z przybycia tak dostojnych gości i polecił nam wykonywać natychmiast wszystkie rozkazy Waszej Książęcej Mości.

— Jesteśmy haniebnie zdradzone — jękła Klementyna z rozpaczą. — Gośćmi nazywają nas, a w rzeczywistości uwięziono nas i Bóg wie, kiedy odzyskamy wolność!

— Wtedy, gdy cesarz uzna to za stosowne — odrzekł Sonnberg uprzejmie.

— Napiszę zaraz do mojej siostry, do cesarzowej matki — zawołała księżna Sobieska oburzona i uskarżę się na to niegodne z nami postępowanie!

— Owszem — odpowiedział Lodron, — kuryer czeka na list!

— Niech księżne nie myślą — dodał Sonnberg — że są w niewoli! Przeciwnie, możecie panie czynić co wam się podoba, prosimy tylko nie opuszczać tej gospody bez naszej wiedzy.

— Gościnność mego siostrzeńca jest doprawdy rozczulająca — zawołała Sobieska szyderczo.

Klementyna gorącemi zalewała się łzami. Obydwaj hrabiowie litowali się szczerze nad śliczną księżniczką, której szczęściu tak ciężkie groziło niebezpieczeństwo, musieli jednak wypełnić rozkaz cesarza i postępować stosownie do danych im poleceń.

Księżna napisała zaraz do swej siostry, prosząc o litość dla córki, ale na list ten żadnej nie otrzymała odpowiedzi.

Październik skończył się, Listopad także, a obie księżne zawsze jeszcze były „gośćmi“ cesarza. Umieszczono je teraz jednak w pałacu barona Reiffena, i strzeżono pilnie, męcząc nadto częstemi przesłuchiwaniami. Pomimo to udało się Klementynie zawrzeć znajomość z jedną z dziewcząt kuchennych, i za jej to pomocą rozpoczęła się ożywiona korespondencya z księciem Stuartem.

Biedny narzeczony był w rozpaczy. Nie mogąc spieszyć na ratunek ukochanej, bo i on, otoczony szpiegami, byłby natychmiast został uwięzionym, pisywał do niej listy, pełne najgoretszych zapewnień miłości, i pocieszał ją, jak umiał nadzieją lepszej przyszłości.

Klementyna wierzyła mu niezachwianie. Cesarz ofiarował jej kilkakrotnie wolność, jeżeli się wyrzeknie zamiaru zaślubienia narzeczonego, ale ona z pogardą odrzucała takie propozycye.

Wtedy uciekł się cesarz do innego środka.

W Styczniu r. 1718 przybył do księcia Sobieskiego do Oławy namiestnik Ślązka, hrabia Praschma.

— Jestem tu z rozkazu cesarza, — zaczął, — który jest oburzony postępowaniem Waszej książęcej Mości! Książe wiesz, o co chodzi! O spokój państw europejskich! Księżniczka Klementyna musi się wyrzec Stuarta, i nikt, jak ojciec nie może na niej tego wymódz!

— Nie myślę stawać na przeszkodzie szczęściu mej córki! — odrzekł Sobieski z godnością.

— Ale książę musisz to uczynić! Choćbyś miał jej zagrozić przekleństwem! Od czegoż władza rodzicielska?

— Nie będę przeklinać tego, co błogosławiłem — zawołał książę rozgniewany.

— Pomyśl książę, jakie następstwa wynikną z tego małżeństwa. Anglia grozi nam zerwaniem przymierza, cesarz nie posiada się z gniewu i...

— Wszystko to nie nakłoni mnie do poświęcenia mego dziecka. Zresztą — dziś już zapóźno — ślub ich odbył się tutaj, przed wyjazdem księcia Stuarta!

Był to dobry wybieg. Praschma nie wierzył wprawdzie, ale musiał donieść o tem cesarzowi, a Sobiescy zyskiwali na czasie.

Wiosna w tym roku była rychłą i ciepłą. Klementyna stawała się z każdym dniem weselszą — narzeczony bowiem doniósł jej, że chwila wyswobodzenia zbliża się, prosząc zarazem, aby nie traciła odwagi i wykonała wszystko to, czego od niej zażąda. Planu ucieczki jednak nie opisał jej bliżej, obawiając się, aby list jego nie wpadł w ręce nieprzyjaciół. I dziwna rzecz! Pomimo, że cały oddział wojska pilnował pałacu, w którym mieszkały księżne, pomimo, że cały dom pełen był szpiegów, nikt nie odkrył korespondencyi narzeczonych i pośrednictwa kucharki. Co godzinę wchodził oficer do pokoju Klementyny, aby się przekonać o jej obecności. Ucieczka była prawie niemożliwą, ale ostatni list Jakóba brzmiał: „Chwila upragniona nadchodzi. Czekaj i ufaj!“

Kilka dni później, nad wieczorem, weszła do pokoju Klementyny owa kucharka, prowadząc za sobą jakiegoś młodego człowieka, otulonego obszernym płaszczem.

— Dalej, dalej, to księżniczka — szeptała poczciwa dziewczyna, popychając nieznajomego.

— Sobieski i Stuart — rzekł nowoprzybyły.

Było to umówione hasło. Klementyna zerwała się z krzesła.

— Więc jestem ocaloną! — zawołała bez tchu prawie. — Co mam teraz uczynić? Uciekać z wami?

— Tak! Ale zamień pani najpierw ze mną ubranie. Jestem kobietą i zajmę twoje miejsce. Prędko!

Po upływie kilku minut były obiedwie gotowe. Nieznajoma w strojnej sukni księżniczki usiadła na ławce, Klementyna zaś, w skromnem ubraniu mieszczanina, wyszła na wpół przytomna z kucharką do sieni.

Głęboka cisza panowała w około.

Na końcu ulicy stała kareta. Klementyna wsiadła, konie ruszyły i wkrótce znikło wszystko w cieniach nocy.

W tejże chwili weszła księżna Sobieska do pokoju córki. Któż opisze jej zdumienie, gdy zamiast niej ujrzała zupełnie sobie obcą dziewczynę? Nieznajoma w kilku słowach wyjaśniła całe położenie rzeczy.

— Nareszcie! — zawołała księżna, ściskając ręce odważnej dziewczyny. — Jakim sposobem weszłaś tutaj?

— Kazano mi się zwrócić do kucharki. Zna ona widocznie bardzo dobrze żołnierzy i strażników, bo przyprowadziła mnie bez trudności do pokoju księżniczki, która teraz znajduje się na drodze do Włoch. Książe Stuart ułożył cały plan ucieczki, i, dzięki Bogu — dotychczas wszystko powiodło się szczęśliwie!

—A ty, moje dziecko?

— O, ja zajmę chętnie miejsce księżniczki, dopóki...

W tej chwili zapukano do drzwi, i na progu stanął oficer z dwoma żołnierzami. O, gdyby teraz tylko nie poznał, że Klementyna znikła!

Serca obydwóch kobiet przestały bić ze strachu. Ale w pokoju ciemno już było, a tak oficer, jak i żołnierze widzieli dwie postacie, siedzące obok siebie i trzymające się za ręce, i to im wystarczało.

— Wszystko w porządku! — rzekł oficer głośno.

Po upływie godziny powtórzyło się to samo, i godzinę później jeszcze raz.

Nazajutrz rano dopiero wykryła się ucieczka księżniczki, ale niebezpieczeństwo już minęło. Zanim pogoń wysłana mogła ją dogonić, znajdowała się Klementyna już we Włoszech, i w Bolonii, gdzie na nią czekał ojciec i narzeczony, odbył się szczęśliwie ślub młodej pary. Miłość zwyciężyła politykę, ale Klementyna nigdy królową angielską nie została.

Księżna Sobieska odzyskała natychmiast wolność, również jak i wybawicielka księżniczki, której nazwiska jednak nigdy się nie dowiedziano. Cesarz Karol VI nie mścił się na nikim, i Sobiescy żyli dalej spokojnie w Oławie. Czy miłość Jakóba wynagrodziła Klementynie jej poświęcenie się, czy oboje znaleźli szczęście, o jakiem marzyli, tego nikt nie wie. Ostatni potomek męzki Stuartów, kardynał Henryk, syn Jakóba i Klementyny, umarł w r. 1807. *M. P.*



Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

W buduarze Heleny znajdowali się oboje sprzymierzeni. Alfred, oparty wygodnie na fotelu, palił papierosa i patrzył na kuzynkę, biegającą miespokojnie po pokoju.

Nareszcie zbliżyła się do niego, i położyła mu rękę na ramieniu.

— Czego chcesz? — zapytał, nie ruszając się z miejsca.

— Więc to ty, Alfredzie! — szepnęła cichym, drżącym głosem.

— Naturalnie! Któż inny miałby zrobić to?

— Okropnie! Okropnie! — jękła i ukryła twarz w dłoniach.

— Komu chodzi o cel, nie powinien przebierać w środkach, — rzekł Alfred drżąco. — Przypomnij sobie naszą umowę. Wszakże twierdziłaś sama, że nie lękasz się niczego, a ja oświadczyłem ci gotowość, wypełnienia twego rozkazu. Teraz już zapóźno — do żalu. Nie można cofnąć tego, co się stało!

— Ach, ja o czemś podobnem wcale nie myślałam.....

— I to właśnie było z twej strony nierozsądnem. Obecnie jesteśmy nierozerwalnie z sobą złączeni, moja piękna kuzynko. Śmierć Richardera jest silniejszym węzłem, niż nasze listy. Niepotrzebuję się niczego obawiać, ale będę ostrożnym. Bądź co bądź — cel nasz osiągniemy.

— Za jaką cenę!

— Eh, co tam! Muszę cię jednak przestrzedz. Powiedz mi, co sądzisz o Gordonie?

— Czasem obawiam go się. Jego przenikliwe oczy zdają się czytać w głębi duszy i.....

— Tak, on nas podejrzywa, i nie wierzy w naszą bezinteresowność, jaką okazujemy z powodu zamierzonego małżeństwa Alicyi. Strzeż się tego człowieka — obawiać go się jednak nie potrzebujesz. Nie ufaj mu, ale nie drżyj przed nim. Może i on stanie się nam przeszkodą, ale będę go umiał usunąć.....

— Boże Wielki! Alfredzie! krzyknęła przerażona.

— Nie, nie, — odrzekł, śmiejąc się, — chcąc go się pozbyć, nie potrzebuję go zabijać! Jakże jesteś nerwową! Wiedz, że mam lepszy jeszcze środek.....

— Nie rozumiem cię! Mów wyraźniej.

— Chwilowo nie mogę ci jeszcze powiedzieć, ale ty wyjaśnij mi kilka rzeczy. Od czasu, kiedy tu przybyłem, słyszałem raz po raz o jakiejś zbrodni, której ofiarą padła pani Richarder, i to przed mniej więcej dwudziestu laty. Znasz bliższe szczegóły tego wypadku?

— Tak, jakiś wielbiciel zabił ją w przystępie obłąkania.

— Jak się nazywał ów człowiek?

— Jan Vandale.

— Ukarano go za to, czy nie?

— Skazano go na dwadzieścia lat ciężkiego więzinia.

— Dziękuję ci. Więcej wiedzieć nie chcę.

— Dlaczego pytasz wogóle o to?

— Później dowiesz się wszystkiego, teraz powtarzam, tylko raz jeszcze, nie dowierzaj Amerykaninowi! Ale obawiać go się nie potrzebujesz. Zanim zresztą minie pół roku, zostanie Alicya twoją bratową!

— — — — — — — — — —

Mniej więcej cztery tygodnie później, znaleziono w parku Nerona nieżywego. Ponieważ nie zauważono na nim żadnej rany zewnętrznej, przeto wziął Gordon psa, aby odbyć na nim sekcyą. A teraz okazało się, że wierne zwierzę zostało otrutem. Cała służba przysięgała i zaręczała, że w zamku nie było ani odrobiny trucizny, pan Richarder bowiem zakazał jak najsurowiej tępienia myszy i szczurów. Więc i to nie było prostym przypadkiem!

— Neron, jedyny świadek zbrodni, zawadzał mordercy, — myślał Gordon, — a zatem i on musiał być usuniętym.

I tak mijał jeden tydzień po drugim. Śmierć Richardera zawsze jeszcze nie była wyjaśnioną, ale nikt o tem już nie myślał i nie mówił. Jeden tylko Gordon nie zapominał zmarłego. Ale i on nie mógł odkryć nic, co by potwierdzało drzemiące w głębi jego duszy podejrzenia.

Alicya szukała i znalazła pociechę w swej miłości dla Henryka. W pierwszym czasie nie chciała myśleć o tem, aby nie ubliżyć pamięci ojca, kochała jednak hrabiego zbyt silnie i gorąco, aby w końcu nie usłuchać głosu serca i nie oddać się swemu wymarzonemu szczęściu.

Gordon i stryj Fritz sprzeciwiali się energicznie temu małżeństwu, ale młoda dziewczyna oświadczyła tak stanowczo, że za nic w świecie nie zmieni swego postanowienia, że ostatecznie ustąpili obydwaj. I gdy Henryk powtórzył teraz prośbę o jej rękę, został przyjętym z największą radością.

Kilka dni później przyszła Helena do zamku i prosiła Alicyą o krótką rozmowę sam na sam.

— Czemże mogę ci służyć? — zawołała młoda dziewczyna z oczami, błyszczącemi najwyższem szczęściem.

— Mam do ciebie wielką prośbę, — odrzekła Helena. — Wiem, że kochasz, i jesteś kochaną i szczęśliwą, i dla tego ośmielam się prosić cię o.....

— O cóż?

— Ach, mówię tu w imieniu bardzo nieszczęśliwego człowieka, który, uniesiony miłością i rozpaczą, popełnił czyn haniebny. Ale oddałby on chętnie życie, gdyby mógł zmazać przeszłość i zatrzeć w pamięci swej wspomnienie, które..... Czy nie domyślasz się jeszcze, o co mi chodzi?

Alicya zadrżała. W jednej chwili stanęła jej przed oczami duszy straszna scena w chacie Katarzyny, i z prawdziwym wstrętem cofnęła się od swej przyszłej bratowej.

— Mówisz o kuzynie twoim, Alfredzie, — szepnęła przytłumionym głosem.

— Tak!

— Ależ to nędznik!

— O nie, moja droga! On jest bardzo, bardzo nieszczęśliwy! Dwa razy chciał sobie odebrać życie, i gdybym go nie była w ostatniej chwili powstrzymała od samobójstwa..... Żądałam naturalnie, aby mi wyjawił powody swego postępowania, ale nie chciał mi zdradzić swej tajemnicy. Dopiero, gdy się dowiedział, że kochasz Henryka, wyznał mi całą prawdę, przysięgając, że się zabije, jeżeli mu nie przebaczysz! Tu oto masz nawet piśmienny dowód jego skruchy i żalu!

Mówiąc to, podała Alicyi ów list, który sama dyktowała Alfredowi. Alicya przeczytała go, a twarz jej wyrażała niezwyciężoną odrazę i pogardę.

— Pomyśl o przyszłości, — mówiła Helena dalej, — Henryk i Alfred kochają się bardzo! Czy chciałabyś się stać powodem ich niezgody? Henryk wyraził już nieraz swe zdumienie, że kuzyn nasz wcale w zamku nie bywa, pytał go o to, ale żadnej nie otrzymał odpowiedzi! Cóż więc będzie, jeżeli i później nie ma was odwiedzać? Raz przecież musi się ta sprawa pomiędzy nimi wyjaśnić, a wtedy, Bóg wie, co się stać może! Nie powinnaś brać na siebie tak ciężkiej odpowiedzialności!

Alicya przerażona, spojrzała na Helenę. Wiedziała, że Alfred był łotrem i że gotów pomścić się na Henryku, a to byłoby jej śmiercią. Lepiej więc uczynić wszystko, niż narazić ukochanego na zemstę takiego nędznika!

— Przebaczę mu, — zawołała prędko. — Niech przyjdzie znowu do zamku. Zapomnę o tem, co się stało, przez miłość dla Henryka i przywiązanie dla ciebie!

— — — — — — — — —

Tydzień przed ślubem przybył do Pereuse Leon, brat Alicyi. Młoda dziewczyna ucieszyła się niezmiernie na widok pięknego młodzieńca, w mundurze kapitana marynarki, udekorowanego krzyżem legii honorowej. Z okrzykiem radości rzuciła mu się w objęcia, a Leon wzruszony przycisnął ją czule do serca.

Od dwóch lat już służył w Sudanie i odbył wyprawę przeciwko potężnemu dowódcy powstańców, Samory. W Sudanie też doszła go wiadomość o śmierci ojca — kilka zaś tygodni później otrzymał tamże list Alicyi, donoszący mu

o swych zaręczynach. Teraz, wziąwszy urlop na pół roku, przybył do domu.

Małżeństwo siostry zadziwiało go wprawdzie nieco, wiedział bowiem, że ojciec nie chciał na nie pozwolić, ale on sam nie był temu przeciwnym. Alicya kochała hrabiego, to mu więc zupełnie wystarczało.

— Spodziewam się, że przedstawisz mi dziś jeszcze twego narzeczonego, — rzekł do siostry.

— O tak! Henryk przyjdzie tu na wieczór!

Tegoż dnia po obiedzie zjawił się doktor Gordon w towarzystwie jakiegoś młodego oficera. Był to Karol Labart, porucznik artyleryi, przybrany jego syn, nadzwyczaj sympatyczny i piękny mężczyzna. Od trzech lat służył w wojsku; z początku wysłano go do Tunisu, później jednak przeniesionym został, na własne życzenie do Orleanu. Leon i Karol, równi wiekiem, zaprzyjaźnili się bardzo prędko, co widocznie Gordona niezmiernie cieszyło. Znając Amerykanina dokładnie z listów ojca i siostry, uczuł Leon i do niego wielką sympatyą, której bynajmniej nie ukrywał. Wiedział także, że Gordon był jednym, który wątpił o nieszczęśliwym wypadku, jaki stał się powodem śmierci jego ojca, to też zarzucał go najrozmaitszemi pytaniami, nie mogąc się jednak dowiedzieć, kogo doktor właściwie o morderstwo podejrzywał.

— Myślisz pan, — rzekł w końcu do Gordona, — że ojciec byłby się dał uprosić łzom i błaganiom Alicyi, i że byłby pozwolił zaślubić jej hrabiego?

— Nie, nigdy! — odpowiedział doktor stanowczo. — A że z drugiej strony siostra pana nie byłaby się opierała woli ojca, małżeństwo to nie byłoby więc nigdy przyszło do skutku!

— Jeżeli tak, to użyję całego mego wpływu, aby nakłonić Alicyą do zerwania tego stosunku. Dziś jeszcze czas! Mam nadzieję, że będzie tyle rozsądną i.....

— Nie łudź pan się, — przerwał Gordon smutnie, — wszelkie usiłowania w tym celu bądą daremne.

— Kto wie? Moja siostra kocha mnie bardzo i usłucha może mej rady.

— Dałby Bóg, ale ja wątpię.

Leon spojrzał badawczo na Amerykanina.

— Czy oprócz tego, że hrabia jest tak chorym, masz pan inne jeszcze powody.....

— Nie, nie, — zawołał doktor szybko — oprócz tego nie mam mu nic do zarzucenia.

— Ale moja siostra jest bardzo majętną, — mówił Leon dalej, — a hrabia nie posiada ani grosza. Może pan nie wierzysz w jego bezinteresowność?

— Henryk Albernon jest człowiekiem bez woli i energii i wykonuje tylko rozkazy innych. On sam nie byłby się nigdy odważył na to, aby prosić o rękę panny Alicyi, chociażby ją rzeczywiście kochał. Ale siostra jego i kuzyn, Alfred Albernon zmusili go do tego zapewne. Będziesz pan miał wkrótce sposobność poznania tych dwojga ludzi, i sam ich ocenisz najlepiej. Jesteś bezstronnym i nieuprzedzonym, może więc osądzisz ich zupełnie inaczej, jak ja. Ale bądź co badź, nie zapominaj pan nigdy o tem, że moje postępowanie wynika jedynie z serdecznej troski o szczęście panny Alicyi, którą kocham, jak własną córkę.

— Oby i mnie się dostała część tego przywiązania, — szepnął wzruszony.

Gordon milczał.

— — — — — — — — —

Wieczorem przybył Henryk w towarzystwie Heleny i Alfreda, który dziś po raz pierwszy znowu ukazał się w zamku. Ale obecności jego nikt prawie nie zauważył, ledwie bowiem głębokim ukłonem przywitał Alicyą, usunął się zaraz na bok, i nierozmawiając z nikim, przepędził cały wieczór na oglądaniu albumów w przyległym salonie. Alicya promieniała szczęściem!

Gordon przybył także z Karolem. Ale zbyt zajęty czuwaniem nad Alicyą, nie domyślał się strasznego niebezpieczeństwa grożącego — nie tej, której pragnął uchronić od wszelkiego złego, tylko jemu samemu. Nie widział złowrogo błyszczących oczu Alfreda, śledzącego zdaleka każdy ruch jego, nie widział szyderczego uśmiechu zaciśniętych ust i nie przeczuwał zdradzieckich zamiarów tego nędznika,

Helena Albernon nigdy jeszcze tak piękną nie była, jak dziś. Jej skromna, ale kosztowna suknia, zabytek dawniejszej świetności uwydatniała wybornie królewską jej urodę. Łagodna, pełna wdzięku i słodyczy Alicya, wyglądała obok niej, jak polna różyczka obok wspaniałej kamelii, jedna była stworzoną do miłości i cichego szczęścia domowego, druga do panowania!

Gdy przedstawiano Helenie Leona i Karola, spojrzała na nich z pozorną obojętnością, chociaż w rzeczywistości zajmowali ją bardzo obadwaj młodzi oficerowie. Od dawna już myślała o Leonie i o jego majątku — wszakże brat Alicyi posiadał również miliony! Czy tylko będzie go umiała złowić w swoje sidła!

Wracając późnym wieczorem do domu, szła milcząca i zadumana. Alfred zbliżył się do niej.

— No i cóż? — szepnął, — czy pierwsze wrażenie było korzystne?

Helena zmarszczyła gniewnie swoje białe czoło. Alfred byłby zdumiał, gdyby był wiedział, kim w tej chwili myśli Heleny były zajęte. Przed oczami duszy młodej dziewczyny stał bowiem nie Leon, tylko — Karol Labarte!

Karol zaś, przybrany syn Gordona opierał równocześnie swą piękną głowę o ramę otwartego okna w swej sypialni, w zamku Rouches, i patrzał rozmarzonemi oczami w ciemną dal, a usta jego szepnęły mimowoli:

— O, jaka ona zachwycająca!

Ale w zamku Pereuse zasypiał dziś także ktoś inny jeszcze z imieniem Heleny na ustach Był to Leon, na którym piękna ta dziewczyna głębokie wywarła wrażenie.

Młodzież widywała się teraz bardzo często. Przygotowania do ślubu Alicyi zbliżyły obydwie rodziny więcej, niż kiedykolwiek, do siebie, Gordon zaś był także codziennym nieomal w zamku gościem. Domyślił on się natychmiast uczuć Leona i poznał, że zaradzić temu nie potrafi. Serce jego ścisnęło się niezmiernym bólem, w jego przekonaniu bowiem był tak Leon jak i Alicya, zgubieni.

Ostatniego dnia przed ślubem wybierał się Henryk, jak zwykle, wieczorem do zamku. Helena chciała mu towarzyszyć, spodziewając się napewno spotkać tam Karola, ale gdy już zabrana. czekała na brata, zbliżył się do niej Alfred.

— Zostań, — rzekł rozkazująco, — muszę się dziś z tobą stanowczo rozmówić o.....

— Nie mogę, — przerwała, — przyrzekłam Henrykowi, że pójdę z nim.

Nie wiedziała rzeczywiście, w jaki sposób uniknąć nieprzyjemnej rozmowy z Alfredem. Od czasu śmierci Richardera, obawiała go się i czuła wstręt do niego, on zaś, powołując się na wspólną ich tajemnicę, stawał się coraz to zuchwalszym i tyranizował ją swoją bezwzględnością.

— Henryk może się obejść bez ciebie, — odpowiedział szorstko. — Zanadto jest zajęty narzeczoną, aby jeszcze na ciebie miał zwracać uwagę.

— Ale przyrzekłam Alicyi i Leonowi.

— Więc idź, — zawołał szyderczo — musisz jednak wiedzieć, że Karola tam nie zastaniesz, widziałem go bowiem przed godziną w Saint-Laurent.

Helena zbladła. Wiedziała, że Alfred domyślił się jej uczuć, pomimo to próbowała zaprzeczyć mu.

— Co to ma znaczyć — rzekła, zmuszając się do spokoju — o ile miałaby mnie interesować obecność pana Laborta w zamku? Nie rozumiem o co ci chodzi.

— Powiem ci to, gdy będziemy sami.

W tejże chwili ukazał się Henryk.

— Chodźmy — rzekł do siostry.

— Helena nie pójdzie dziś — uprzedził ją Alfred szybko — nie czuje się bowiem zupełnie zdrową.

Młoda dziewczyna nie śmiała mu się opierać, i tak poszedł Henryk sam.

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, usiadł Alfred wygodnie na kanapie i zapalił cygaro.

— Teraz możemy swobodnie rozmawiać — zawołał drwiąco. — Przedewszystkiem musimy się zastanowić nad tem, co uczyniliśmy dotychczas i co nam jeszcze uczynić należy. Dotychczas jestem zadowolony — zbliżamy się wolno do celu. Spodziewam się, że i ty jesteś zadowoloną.

— Małżeństwo Henryka cieszy mnie bardzo!

— A dla mnie nie masz słowa wdzięczności? Bo to małżeństwo to moje dzieło, wiesz przecież, że nie byłoby ono nigdy do skutku przyszło, gdyby poczciwy Richarder nie był uległ nieszczęśliwemu przypadkowi na polowaniu.

Helena zadrżała.

— Tak, tak — mówił dalej z uśmiechem — tym sposobem przechodzi w nasze ręce połowa majątku Richardera. Pozwól jednak wyrazić mi głęboki podziw dla zręczności, z jaką usiłujesz zdobyć dla nas resztę jego milionów.

— Nie rozumiem cię — szepnęła zaniepokojona.

— Leon zakochał się w tobie szalenie i nie tai się wcale z swoją miłością. Jest to widocznie zacny i szlachetny młodzieniec, którym z łatwością będziemy mogli kierować — postępuj tylko nadal tak zręcznie, a za kilka miesięcy będziesz jego żoną. Dzięki temu po-

dwójnemu związkowi, staniemy się właścicielami całego ogromnego majątku. Doskonale nieprawdaż?

— Tak — tylko, że to się nigdy nie spełni!

— Cemu?

— Najpierw, że nie wiem, czy Leon rzeczywiście mnie kocha...

— Jestem pewien, że w tych dniach oświadczy ci się!

— A powtóre, że ja nie kocham go wcale!

Alfred głośnym wybuchnął śmiechem. Słowa Heleny bardzo go widocznie rozśmieszyły.

— Wybacz — zawołał — ale czasem dziwne masz doprawdy pojęcia! Na to nie byłem przygotowanym. Otwarcie mówiąc, bardzo mi to obojętne, czy ty go kochasz, czy nie!

— Tobie może, ale...

— I tobie także — krzyknął groźnie. — Nie zaczynaj teraz pleść o uczuciach, o świetle księżyca i tem podobnych niedorzecznościach · ja chcę, abyś została jego żoną, słyszysz? Co zaś do Karola Laborte, to...

— Milcz — jękła Helena.

— Kochasz go? Żądam, abyś mi wyznała prawdę!

— Tak!

— Ah, domyślam się tego. Posłuchaj co ci powiem — rzekł, biorąc jej rękę. — Przypominasz sobie to, co mówiłaś do mnie w pierwszym dniu mego przybycia? Że powinniśmy użyć całej naszej energii, aby się uwolnić z pod jarzma biedy i niedostatku? Mam ci powtórzyć twoje własne słowa?

— Nie, nie, nie wiem o niczem!

— Więc ja mam lepszą pamięć, niż ty! Ale może pamiętasz o listach, jakie zamieniliśmy z sobą! Wyobraź sobie, coby Karol powiedział, gdybym mu dał twój list do przeczytania!

— Zlituj się, Alfredzie! — szepnęła zbielałemi ustami.

— O, nie obawiaj się niczego! Nie grożę ci, bo wiem, że jesteś zbyt rozsądną, abym ci rzeczywiście grozić musiał. Ale przedewszystkiem nie zapominaj — dodał ciszej — że i krew przelana wiąże nas silnie i...

— Nie! — krzyknęła przerażona — wszystko, tylko nie to! Ja nie chciałam tego! Ty sam popełniłeś zbrodnią, i krew Richardera spadnie na ciebie samego!

— Zapóżno, moja droga, zapóźno! Wypełnij teraz twoje życzenie, więcej nic. Ale nie masz się czego unosić — nasza sprawa stoi dobrze. Jutro odbędzie się ślub Henryka i Alicyi — kiedy ma być twój ślub?

Helena była zgubioną. Wiedziała, że nic w świecie nie uwolni ją od tego potwora, któremu sama, w przystępie lekkomyślnego zaślepienia, oddała się w ręce. Wszelki opór był tu daremnym.

— Kiedy chcesz, — rzekła z rozpaczą.

— Bardzo dobrze. O bliższych szczegółach pomówimy później. Mam zaufanie do ciebie.

Następnego dnia odbył się ślub Alicyi z hrabią Henrykiem Albernon, i nowożeńcy wyjechali na dłuższy czas do Włoch.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nasze illustracye.

Jak Polska długa i szeroka, tak wszędzie znanym w niej jest Kornela Ujejskiego Chorał narodowy, zaczynający się od słów: „Z dymem pożarów“. Więcej jeszcze niż „Skargami Jeremiego“ zapisał się Ujejski tą własnością narodu; ilekroć naród tę pieśń zaśpiewa, tylekroć z grobu zmartwychwstawać będzie Ujejski.

Tę pieśń, która jest skargą w głos do Boga bijącą, przedstawił współczesny nam malarz, Jan Styka, w szeregu obrazów; malarz ten już z dawna znany wielkiemi płótnami, z których przed kilku laty w Poznaniu „Polonia“ wystawioną była, jest jednym z najwięcej narodowych naszych malarzy. Można by powiedzieć, że Styka w większości swych obrazów jest przedewszystkiem Polakiem, potem dopiero genialnym artystą; ten podwójny charakter uwydatnia się także w jego poezyach, drukowanych przed kilku laty w Krakowie; poezyami swemi złożył Styka dowód, że nietylko pędzlem ale i piórem zdolny jest służyć sprawie ojczystej, i że jako malarz harmonią barw, jako poeta harmonią dźwięków świat w czary ubierać potrafi.

Aby zwrócić uwagę szerszej publiczności na illustracye, jakie Styka do „Chorału narodowego“ utworzył, dajemy w dzisiejszym numerze „Pracy“ reprodukcyę jednej z nich, będącą świetnem wyobrażeniem myśli Ujejskiego, zawartej w słowach:

„Znowu wołamy: „On się przebłagał,
„Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!“
„I znów powstajem w ufności szczersi.“

Cały cykl illustracyi, których reprodukcye kolejno dawać będziemy w „Pracy“, mają do nabycia tutejsze księgarnie polskie.



KONKURS.

Zbliżają się jedne z najuroczystszych i najpiękniejszych świąt, t. j. święta Bożego Narodzenia czyli radosna „Gwiazdka.“ Święta te są jedynie prawdziwie rodzinne. Zblizka i zdaleka zdążają członkowie rodzin, aby je przy wspólnem przepędzić ognisku, aby zagrzać się przy niem i nabrać otuchy do dalszych walk i trudów. A kto z niezależnych powodów w dniach tych dłoni swej spoić nie może z dłonią mu bratnią, ten niechaj choć zdala łączy się ze swymi drogimi, śląc im opłatek gwiazdkowy. I my pragniemy ze Szanownymi Czytelnikami „Pracy“ połączyć się niejako w jednę rodzinę i zogniskować ich umysły naokoło siebie. W tym celu zapraszamy wszystkich Czytelników do szlachetnej szermierki, ogłaszając niniejszem

konkurs gwiazdkowy i noworoczny.

Na Konkurs ten należy jedynie przesyłać prace oryginalne, odnoszące się do uroczystych chwil Wilii i świąt Bożego Narodzenia lub też święta Nowego Roku.

Mogą to być bądź poezye, bądź nowele, bądź też stosowne artykuły.

Dla sześciu najlepszych prac wyznaczamy następujące nagrody:

pierwszą nagrodę 50 mk.,
drugą nagrodę 30 mk.,
2 następne nagrody po 20,
i wreszcie
dwie nagrody po 10 mk.,
razem więc
6 nagród.

Prace konkursowe nadesłać należy na ręce redakcyi naszej i to **najpóźniej do 5 grudnia r. b.**

Prace nadesłane po 5-tym grudnia tracą prawo do konkursu.

Oprócz nagrodzonych prac zamieszczone będą także prace nienagrodzone, a nadające się do druku.

W nadziei, że Szanowni Czytelnicy zaproszenie nasze przyjmą z zadowoleniem i że przyczynią się do najobfitszego plonu konkursowego — kończymy hasłem: „Do czynu!“ *Redakcya „Pracy“.*

niem 10 fen. na porto — ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*, **25 listów z pięknym nagłówkiem i 25 kopert.**

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **dwóch nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premię piękny kalendarz „Katolika“ na rok 1900.

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Obszerny początek naszej powieści wyślemy każdemu nowo przybywającemu abonentowi na życzenie natychmiast **bezpłatnie** i to za nadesłaniem kwitu pocztowego i 10 fen. na porto.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się we Środę, najpóźniej we Wtorek nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Wiadomości.

Prośba. Szanownych Czytelników prosimy o dokładne i wyraźnie pisane adresy z wymienieniem najbliższej stacyi pocztowej celem ułatwienia wysyłki numerów okazowych, premii, początku powieści „Wina i pokuta“ i t. d.

Szanownych Abonentów z Galicyi prosimy o łaskawe nadsyłanie prenumeraty tylko w pieniędzach, a nie w znaczkach pocztowych austryackich, których tutaj użyć nie możemy.

Abonentom z Galicyi, którzy nadesłali prenumeratę, wysyłamy „Pracę“ jak najregularniej w kopertach opłatnie; za wszelkie niedokładności odpowiada poczta.

Prośba. Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe przysłanie nam nr. 41 i 42 „Pracy“ z rb., za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Szanowną Redakcyę „Pracy“ proszę najuprzejmiej o łaskawe poinformowanie mię w następującej sprawie: Jestem potomkiem Mierzwińskich, którzy to byli właścicielami dóbr ziemskich (7 wsi), lecz podczas konfederacyi Barskiej byli zmuszeni uchodzić z kraju. Jeden z nich przybył do Galicyi i tutaj zaniedbał starać się o odzyskanie swej własności. Przeto prosiłbym najuprzejmiej o umieszczenie w „Pracy“, czy istnieją takie dobra i czy są jako prywatne, lub czy już zabrane na skarb państwa?

Z szacunkiem
Tadeusz Mierzwiński
w Jadownikach poczta Brzesko
(Galicya).

Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe informacye w powyższej sprawie — Przyp. Redakcyi.

Zwracamy uwagę na anons „Najstarszy warsztat i skład obuwia K. Maya w Poznaniu“. Firma ta już przed 4 laty 50-letni jubileusz swego założenia obchodziła; jestto prawdziwie jedna z najstarszych w swym zawodzie w mieście naszem. W roku 1845 założona, w r. 1867 po przodkach swych odziedziczona i znacznie powiększona, a znana powszechnie z dobrego i rzetelnego prowadzenia. W składzie wzmiankowanym nabyć można obuwie rozmaitego rodzaju, począwszy już od najmniejszego, bardzo trwałe i wygodne, gustownie zrobione z doborowego materyału i nie za drogie. Równocześnie zwracamy uwagę, że przez długoletnią praktykę w swym zawodzie jest firma ta w stanie wszelkim wymaganiom, jakie tylko w zakres szewstwa wchodzą, zadosyć uczynić. Dla tego też Szanownej Publiczności skład i warsztat p. Maya, jako rodaka naszego, usilnie polecamy.

Dnia 30 z. m. umarł na paraliż serca gorliwy czytelnik „Pracy“, Józef Puśledzki w Skoraszewicach pod Krobią w 43-im roku życia, właściciel 80 mg. roli i organista przy tamtejszym kościele. Był to wierny syn kościoła i dobry Polak, jak powiedział w mowie żałobnej ks. proboszcz, a przed kilku laty, nie żałując kosztów, zwiedził Kraków, aby poznać narodowe pamiątki. Brał udział w każdej pracy społecznej, jeżdżąc na zebrania czy to do Krobi, czy do Gostynia, a jako prawyborca był na każdych wyborach. Eksportacya i pogrzeb odbyły się przy wielkim udziale parafian i znajomych z dalszych okolic. Mowę żałobną powiedział w rzewnych słowach ks. prob. Hulewicz z Kołaczkowic, pobudzając wszystkich do nieutulonego płaczu.

Zmarli:

S. p. ks. Roman Kucner w zakładzie Braci Miłosierdzia w Marysinie.

S. p. Halina Dorszewska w Dąbrowie pod Zaniemyślem w 23 wiośnie życia.

S. p. z Pendiasów Franciszka Chojnacka, żona właściciela hotelu Lipskiego w Poznaniu.

S. p. Joanna z Przygodzkich I-o voto Stychel, II-o voto Rakowska, w Wieszkowie pod Kościanem. Pogrzeb odbył się w Poznaniu d. 3 b. m.

S. p. Maksymilian Polzin na św. Łazarzu pod Poznaniem.

S. p. dr. Jan Oświecimski, lekarz z Katowic na Slązku, ur. 24 stycznia 1863 r. w Pleszewie w W. Ks. Poznańskim, zmarł w Dreźnie dnia 5 listopada po długich i ciężkich cierpieniach. Pogrzeb odbył się w Krakowie d. 8 b. m.

S. p. Wanda Paprocka w 66 roku życia w Poznaniu.

S. p. Seweryn Jewasiński, zawiadowca biura w Wrocławiu.

Niech spoczywają w spokoju!

Odpowiedzi od Redakcyi.

Szan. Korespondentów naszych uprzejmie prosimy, aby zechcieli zawsze pisać listy do Redakcyi tylko po jednej stronie arkusza, ponieważ rękopisy, zapisane po obydwóch stronach, sprawiają w drukarni trudności.

Panu M. P. w Dysseldorfie. Nie wiemy, ile jest tam abonentów, dowiedzieć się można na miejscowej poczcie. „Gazeta narodowa“ wychodzi we Lwowie. Za zjednanie nowych abonentów serdecznie dziękujemy.

Wielebnemu księdzu kapelanowi Z. w Morawskiej Ostrawie. Dziękujemy serdecznie — zamieszczamy równocześnie. „Pracę“ będziemy przesyłali.

Zarządowi Związku Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu. Sprawozdanie zamieszczamy w dzisiejszym numerze w dodatku rolniczo-handlowo-przemysłowym.

Panu Szyperskiemu w Katowicach. Za popieranie „Pracy“ dziękujemy serdecznie.

Panu Janowi Makosz w Miechowie. Prosimy udać się do księgarni p. Tempłowicza w Poznaniu.

Abonenta z Chrostkowa w Galicyi prosimy o dokładne podanie nazwiska, ponieważ na przekazie (kuponie) nic nie było napisane.

Żero w Gnieźnie. Najuprzejmiej dziękujemy.

Panu J. Kalmuczakowi w Berlinie. Udaj się Pan do księgarni I. Tempłowicza w Poznaniu.

Panu F. W. w Berlinie. Jesteśmy już zaopatrzeni na razie, ale przyjmiemy, jeżeli *bezinteresownie.*

Panu Wacławowi R. w Kolonii. Bliższego adresu nie znamy.

Panu Janowi H. w Gostyniu. Do kosza!

P. Józef. Pociej. Owszem, z całą gotowością, przyjmiemy *krótkie, objektywne i popularnie pisane* korespondencye z Galicyi. Co do nadesłanego sprawozdania, to już jest spóźnione. W listopadzie nie możemy przecież umieszczać sprawozdań z obchodów, które się odbywały w lipcu. Na przyszłość chętnie skorzystamy z życzliwości Pańskiej.

Wielebnemu księdzu R. Najuprzejmiej dziękujemy.

P. J. Pł. w Koźminie. Żalił się Pan do naddyrekcyi poczty na owego urzędnika-hakatystę.

Pana St. Czarneckiego prosimy o wyraźne napisanie adresu oraz donosimy, że „Pracę“ każdej chwili na poczcie zapisać można.

Panom: Teodorowi Główczewskiemu w Kaszubach (Prusy Zachodnie), St. Kryszczakowi w Ostrzeszowie, Czytelnikowi z Bukownicy i wielu innym dziękujemy serdecznie za przysłane numery 41 i 42 „Pracy“.

Jmci księdzu Z. Serdeczne dzięki — zamieścimy.

Panu Walentemu J. Wzmianka o ślubie była już w „Pracy“. Numery początkowe wyczerpane. Wierszami jesteśmy formalnie zasypywani, które z małemi tylko wyjątkami wędrują do kosza, jako nie kwalifikujące się do druku.

Imci Księdzu J. w W. i F. w W. Oddaliśmy księgarni Tempłowicza do załatwienia.

Panu Sośnickiemu w Pakosławiu. Bliższe szczegóły podane są w inseracie, innych informacyi udzielić nie możemy.

S. S. W. 120. Wiersz nie nadaje się do druku.

Panu Michałowi C. w Freitagsheim (!) pod Inowrocławiem. Dziękujemy serdecznie.

Białemu Goździkowi z Zawoji (Galicya). Zagadki zamieszczamy, ale nie w każdym numerze. Dalszy ciąg powieści w drugim nakładzie (4-y arkusz) jeszcze nie wydrukowany.

Panu Janowi P. w Śremie. Nawał pracy nie pozwala nam na to.

Panu Józefowi R. w Ostrowitem prym. Serdecznie dziękujemy.

Jędrek Klima w Lipinkach (Galicya). Bóg zapłać za poparcie. Wiersz zamieścimy w jednym z następnych numerów.

Panu Stanisławowi S. w Turowach. Postaramy się uczynić zadość Jego życzeniu.

Panu Ludwikowi S. w Gdańsku. Odebraliśmy — na razie odpowiedzi stanowczej dać nie możemy.

Panu *Kazimierzowi Cz. w W.* Adres redakcyi „Promienia“ Lwów, Zygmuntowska 12a.

Pani *Helenie R. w Magdeburgu.* Na razie odpowiedzieć nie możemy stanowczo.

Zagadka premiowa z historyi polskiej.

Który z bohaterów okrył się w konfederacyi barskiej największą sławą, kiedy się urodził, gdzie zginął w bitwie na obczyźnie i w którym roku?

Rozwiązanie zagadki z literatury polskiej z nr. 43-go:

Autorem pieśni „Kiedy ranne wstają zorze“ i „Bóg się rodzi“ jest Franciszek Karpiński, ur. w Hołoskowie r. 1741, um. w Chorowszczyźnie r. 1825.

Dobre rozwiązanie nadesłali:

Z Poznania:

Pp. Kazimira G., Z. Fischbach, H. Thielemann, F. i M. Rakowski.

Z prowincyi:

Z Koźmina: p. J. Pławiński.
Z Wolsztyna: p. St. Miedziński.
Z Ostrzeszowa: p. A. Radziszewski.
Ze Środy: p. H. Olszańska:
Z Czempinia: p. J. Dalkowski.
Z Krotoszyna: p. E. Chmielewski.
Z Pleszewa: p. A. Jezierski.
Ze Świdnicy pod Wschową: p. G. Tomaszewski.
Ze Źrenic pod Środą: p. M. Otmianowska:
Ze Strzyżewa kość. p. Gniezno: p. S. Pietrzak.
Ze Świerkówki p. Wargowo: p. B. Kulczyński.
Z W. Sławska pod Kruświcą: p. Z. Jaworska.
Z Niem. Popowa pod Śmiglem: p. Fr. Nawrocka.
Z Wyrzeki/Dalewa: p. H. Sporna.
Z Chełmc pod Kruświcą: p. A. Pluta.
Z Podzamcza: p. J. Otto:

Z Prus Zachodnich:

Z Zblewa: p. J. Czaplewski.
Z Sztumu: p. B. Łyczywek.
Z Chełmna: p. T. Feldstein.
Z Reszk: p. J. Grünholz.

Z Górnego Śląska:

Z Wrocławia: p. B. Chudzicki.
Z Katowic: p. H. Ciemięga.

Z Galicyi:

Z Krakowa: pp. W. Batko i H. Mroczek.

Z obczyzny:

Z Krefeldu: p. H. Wullert.

Nagrodę przez wylosowanie otrzymała pani M. Otmianowska z Źrenicy p. Środą.

Humorystyka.

Dom z kart.

Siedzi sobie pan Clary
Pilnie karty ustawia,
Co wiatr jedną mu zdmuchnie,
Zaraz drugą podstawia.

A Polacy i Czesi
Spoglądają ciekawi,
Jaki też pan minister
Z kart im domek wystawi.

Gdy już skończył robotę,
Do stojących dokoła
Pan minister się zwraca,
Grozi palcem i woła:

„No, nareszcie dom gotów,
Gdy się który przysunie,
Nie dmuchajcie za bardzo,
Bo znów domek mi runie.“



Notowanie cen zboża.

Mój Redaktorze!

Choć krótkiemi słowy pozwól poświęcić chwilę memu pisaniu: co wy tam sobie zawracacie głowy z tem notowaniem cen zboża w Poznaniu. Po co sążniste rozprawy piszecie, po co niejeden główkę sobie męczy, kiedy — zapewniam najsolenniej w świecie, że to jest sprawa prostsza od obręczy. Oddawna siedzę wśród rodzinnej wioski, mój spryt handlowy zna moc różnych osób, z sprzedażą zboża nie mam nigdy troski, a ceny jego notuję w ten sposób: Jeśli się żydek koło mego dworu i w tę i w ową stronę ciągle kręci i wśród miłego ze mną rozhoworu nic nie wspomina o swej kupna chęci, wtedy (tysiące przykładów wymienię) ja wiem napewno i nigdy nie zbłądzę, że nasze zboże podskoczyło w cenie i on chce kupić je za psie pieniądze. Jeśli zaś żydek spotkany przypadkiem, chętnie o zbożu będzie mówił ze mną, to jestem pewny (moja żona świadkiem) że zboże cenę zyskało ujemną. Tem się kierując, nigdy się nie biedzę, giełd i kurscetli nie szukam daleko i chwała Bogu — na swej wiosce siedzę z półzaszarganą tylko hypoteką. Zboże wszelakie doskonale sprzedam, dajcie mi tylko codzień choćby wagon i ręcząc słowem, że się okpić nie dam, piszę się

Sługa uniżony
Szlagon.



Uniwersalny lekarz.

— Jużeśta mi Icku i bańki stawiali i krew puszczali dwa razy, a głowa jak bolała, tak boli.

— Nie bojcie się, Wojciechu, dajcie sobie jeszcze dwoch zębów wirwać, zapłacicie za to i będziecie zdrów jak bik.

— Kiedy mnie, dzięki Bogu, zęby nie bolą...

— Ny — to co? ale wam zaraz od głowe wszistko bolenie odciągnie.



Z teki bajarza.

Że odnajdzie człowiek dzięki swej latarce,
Miał ongi Dyogenes myśl wielce ułudną;
I dziś, choć elektryczność płonie w świata [arce,
Rozwiązać ten problemat — jest też po- [no trudno...

Na to wojnę na ziemi wymyślili ludy,
Aby o tem wiedział niemal każdy partacz,
Że choć człek w naturze jest cudem nad [cudy,
To go w mig położy... bomba, albo kartacz!



(15) **KODEKS CYWILNY**

na polskie przełożył

W. ZIELIŃSKI, sekretarz sądu ziemiańskiego.

§ 649. Zamawiający może aż do ukończenia dzieła każdego czasu kontrakt wypowiedzieć. Jeżeli zamawiający wypowiada, to przedsiębiorca ma prawo zażądać umówionego wynagrodzenia; musi atoli zezwolić, aby mu policzono to, co wskutek zniesienia kontraktu w nakładach zaoszczędza albo przez zużycie swej siły roboczej w inny sposób zyskuje lub zyskać złośliwie zaniechuje.

§ 650. Jeżeli kosztorys służył za podstawę kontraktu bez przyjęcia gwarancyi ze strony przedsiębiorcy za prawdziwość kosztorysu, a wykaże się, że dzieło bez znacznego przekroczenia kosztorysu jest niewykonalnem i, jeżeli zamawiający z tego powodu kontrakt wypowie, natenczas służy przedsiębiorcy tylko ta pretensya, która w § 645 ust. 1 jest ustanowioną.

Jeżeli takiego przekroczenia kosztorysu oczekiwać należy, to winien przedsiębiorca zamawiającego o tem zawiadomić bezzwłocznie.

§ 651. Jeżeli przedsiębiorca zobowięzuje się do wystawienia dzieła z materyału przez siebie dostarczyć się mającego, to winien on zamawiającemu oddać rzecz wykonaną i postarać się o własność rzeczy dla niego. Do takiego kontraktu zastósowuje się przepisy o kupnie opiewające; jeżeli ma się wystawić rzecz niezamienną, to wstępują w miejsce § 433, § 446 ust. 1 zdanie 1 i w miejsce §§ 447, 459, 460, 462 aż do 464, 477 aż do 479, przepisy opiewające o kontrakcie względem wystawienia gotowego dzieła z wyjątkiem §§ 647, 648.

Jeżeli przedsiębiorca obowięzuje się tylko do postarania się o dodatki i inne rzeczy poboczne, natenczas zastósowuje się wyłącznie przepisy opiewające o kontrakcie względem wystawienia gotowego dzieła.

TYTUŁ ÓSMY.

Kontrakt faktorski.

§ 652. Jeżeli ktoś obiecuje faktorne za wskazanie sposobności do zawarcia jakiegoś kontraktu albo za pośredniczenie w jakimś kontrakcie, to jest tylko wtenczas zobowiązanym do uiszczenia faktornego, jeżeli kontrakt przyjdzie do skutku z powodu stręczenia albo pośredniczenia faktora. Jeżeli kontrakt zawiera się pod warunkiem odraczającym, to można żądać faktornego dopiero wtenczas, jeżeli warunek się spełni.

Wydatki należy zwrócić faktorowi tylko wtenczas, jeżeli to umówiono. Umowa taka obowięzuje i wtenczas, jeżeli kontrakt nie przyjdzie do skutku.

§ 653. Faktorne uważa się jako z dorozumieniem umówione, jeżeli świadczenia faktorowi poruczonego, wedle okoliczności tylko za wynagrodzeniem spodziewać się należy.

Jeżeli wysokości wynagrodzenia nie oznaczono, to należy, w razie istniejącej taksy, taką zapłatę uważać jako umówioną, jaka jest w taksie ustanowioną, w braku taksy zaś, zapłatę w zwyczaju będącą.

§ 654. Pretensya o faktorne i zwrot wydatków jest wykluczoną, jeżeli faktor wbrew osnowie kontraktu także dla drugiej strony był czynnym.

§ 655. Jeżeli za nastręczenie sposobności do zawarcia jakiegoś kontraktu służbowego, albo za pośredniczenie w takim kontrakcie, umówiono niestósunkowo wysokie faktorne, to można je na wniosek dłużnika wyrokiem obniżyć do sumy odpowiedniej. Po uiszczeniu zapłaty jest obniżenie wykluczonem.

§ 656. Przyrzeczeniem zapłaty za nastręczenie sposobności do zawarcia małżeństwa albo za pośredniczenie w przyjściu małżeństwa do skutku, nie nadaje się podstawy żadnemu zobowiązaniu. Zwrotu tego, co na mocy przyrzeczenia już dano, nie można z tej przyczyny się domagać, że zobowiązanie nie było.

Przepisy powyższe obowięzują także co do umowy, przez którą druga strona w celu spełnienia przyrzeczenia, wobec faktora jakieś zobowiązanie na siebie przyjmuje, a mianowicie pod względem przyznania długu.

TYTUŁ DZIEWIĄTY.

Publiczna obietnica.

§ 657. Kto w drodze publicznego obwieszczenia wyznacza wynagrodzenie za spełnienie jakiejś czynności, a mianowicie za spowodowanie jakiegoś wyniku, to jest zobowiązanym temu wynagrodzenie wypłacić, kto tę czynność spełnił, chociażby tenże był działał bez względu na ową publiczną obietnicę.

§ 658. Publiczną obietnicę można odwołać aż do spełnienia czynności. Odwołanie jest tylko wtenczas ważnem, jeżeli je obwieszczono w ten sam sposób, jak obietnicę publiczną, albo jeżeli je się oznajmia przez osobne uwiadomienie.

Odwołalności można się zrzec w publicznej obietnicy; zrzeczenie się leży, w razie wątpliwości w naznaczeniu kresu, w którym czynność uskutecznić należy.

§ 659. Jeżeli czynność, za którą wyznaczono zapłatę, kilka osób podjęło, to wynagrodzenie należy się tej osobie, która najprzód czynność przedsięwzięła.

Jeżeli kilka osób czynność równocześnie uskuteczniło, wówczas należy się każdej osobie równa część wynagrodzenia. Jeżeli wynagrodzenia z powodu swej istoty podzielić nie można, albo jeżeli podług osnowy publicznej obietnicy tylko jedna osoba nagrodę ma otrzymać, to los o tem rozstrzyga.

§ 660. Jeżeli więcej osób współdziałało we wyniku, za który nagrodę wyznaczono, natenczas powinna osoba publicznie obiecująca wynagrodzenie pomiędzy nie podzielić z uwzględnieniem udziału, jaki każda z nich miała we wyniku. Podział nie obowięzuje, jeżeli jest widocznie niesłusznym; w takim razie rozstrzyga wyrok o podziale.

Jeżeli który z uczestników nie uznaje podziału przez osobę publicznie obiecującą dokonanego za obowięzujący, natenczas ma osoba publicznie obiecująca prawo dopóty odmawiać dopełnienia obietnicy, dopóki uczestnicy nie załatwią między sobą sporu co do ich uprawnienia; każdy z nich może zażądać, aby wynagrodzenie było dla wszystkich zdeponowanem.

W tym przypadku zastósowuje się także przepis § 659 ust. 2 zdanie 2.

§ 661. Publiczna obietnica, której przedmiotem jest ubieganie się o nagrodę, jest tylko wtenczas ważną, jeżeli w ogłoszeniu wyznaczy się kres do ubiegania się o nią.

Decyzyę co do tego, czy ubieganie się, które we wyznaczonym kresie nastąpiło, odpowiada warunkom publicznej obietnicy, albo która z więcej ubiegających się osób zasługuje na pierwszeństwo, ma wydać osoba w publicznej obietnicy podana, w braku zaś takiej osoby, osoba obietnicę rozpisująca. Ta decyzya jest dla uczestników obowięzującą.

Przy ubieganiach się na równe uwzględnienie zasługujący zastósowuje się co do przyznania nagrody przepisy § 659 ust. 2.

Przelania własności dzieła może osoba publicznie obiecująca tylko wtenczas żądać, jeżeli w publicznej obietnicy ustanowiła, że to przelanie własności ma nastąpić.

TYTUŁ DZIESIĄTY.

Zlecenie.

§ 662. Przez przyjęcie jakiegoś zlecenia zobowięzuje się ten, kto zlecenie przyjął, interes jakiś przez poruczyciela nań zdany, dla poruczyciela bezpłatnie załatwić.

§ 663. Kto jest publicznie ustanowionym do załatwiania pewnych interesów, albo kto publicznie do tego oświadczył gotowość, ten ma obowiązek, jeżeli jakiegoś, taki interes na celu mającego zlecenia nie przyjmuje, poruczycielowi o nieprzyjęciu donieść bezzwłocznie. To samo obowięzuje, jeżeli ktoś wobec poruczyciela do załatwienia pewnych interesów gotowość oświadczył.

§ 664. W razie wątpliwości, nie wolno temu, kto zlecenie przyjął, wykonania zlecenia zdawać na trzecią osobę. Jeżeli zdawanie zlecenia jest dozwolonem, w takim razie winien ten, kto zlecenie przyjął, odpowiadać tylko za winę przy zdawaniu zlecenia nań spadającą. Tenże jest za winę pomocnika w myśl § 278 odpowiedzialnym.

Pretensya o wykonanie zlecenia jest, w razie wątpliwości, nieprzelewalną.

§ 665. Ten, kto zlecenie przyjął, ma prawo odstąpić od wskazówek poruczyciela, jeżeli wedle okoliczności wolno mu utrzymywać, że poruczyciel, gdyby znał stan sprawy, uznałby odstąpienie za słuszne. Ten, kto zlecenie przyjął, winien donieść poruczycielowi o odstąpieniu od jego wskazówek i, jeżeli ze zwłoką niebezpieczeństwo nie jest połączonem, oczekiwać jego decyzyi.

§ 666. Ten, kto zlecenie przyjął, jest obowiązanym do udzielenia poruczycielowi potrzebnych wiadomości, na żądanie także do udzielenia informacyi o stanie interesu i po wykonaniu zlecenia, do złożenia rachunku.

§ 667. Ten, kto zlecenie przyjął, jest zobowiązanym do wydania poruczycielowi tego wszystkiego, co w celu wykonania zlecenia otrzymuje i tego, co ze załatwienia interesu osięga.

§ 668. Jeżeli ten, kto polecenie przyjął, obraca na swój użytek pieniądze poruczycielowi wydać albo dla niego zużyć się mające, to jest obowiązanym do oprocentowania ich od czasu obrócenia ich na swą potrzeb.

§ 669. Poruczyciel winien temu, kto zlecenie przyjął, na żądanie dać zaliczkę na nakłady do wykonania zlecenia potrzebne.

§ 670. Jeżeli ten, kto zlecenie przyjął w celu wykonania zlecenia robi nakłady, jakie wedle okoliczności może uważać za potrzebne, to poruczyciel jest zobowiązanym do ich zwrócenia.

§ 671. Poruczyciel może każdego czasu zlecenie odwołać, a ten, kto je przyjął, każdego czasu wypowiedzieć.

Ten, kto zlecenie przyjął, może je tylko tak wypowiedzieć, aby poruczyciel mógł poczynić zabiegi w celu załatwienia interesu przez kogo innego, chyba że zachodzi ważny powód do niewczesnego wypowiedzenia. Jeżeli ten, kto zlecenie przyjął, wypowie je niewcześnie bez takiego powodu, to winien wynagrodzić poruczycielowi szkodę ztąd powstającą.

Jeżeli zachodzi ważny powód, to ma ten, kto zlecenie przyjął, i wtenczas prawo do wypowiedzenia, chociażby się był zrzekł prawa wypowiedzenia.

§ 672. Zlecenie nie ustaje w razie wątpliwości, z powodu śmierci lub zachodzącej nieprawodzielności poruczyciela. Jeżeli zlecenie ustaje, to winien ten, kto je przyjął, gdy z odroczeniem jest niebezpieczeństwo połączonem, dalej załatwieniem zdanego nań interesu dopóty się zajmować, dopóki spadkobierca lub prawny następca poruczyciela nie zdoła podjąć starania o załatwienie sprawy w inny sposób; o tyle uważa się zlecenie jako dalej istniejące.

§ 673. Zlecenie ustaje, w razie wątpliwości, z powodu śmierci tego, kto je przyjął. Jeżeli zlecenie ustaje, to winien spadkobierca tego, kto je przyjął, poruczycielowi o śmierci donieść bezzwłocznie i, w razie jeżeli odroczenie jest z niebezpieczeństwem połączonem, sprawowaniem zdanego interesu dalej się zajmować, dopóki poruczyciel nie będzie mógł podjąć starań o załatwienie sprawy w inny sposób; o tyle uważa się zlecenie jako dalej istniejące.

§ 674. Jeżeli zlecenie w inny sposób ustaje aniżeli przez odwołanie go, to uważa je się mimo to na korzyść tego, kto je przyjął, jako dalej istniejące, dopóki ten, kto je przyjął, o ustaniu zlecenia się nie dowie albo o niem wiedzieć nie musi.

§ 675. Do kontraktu służbowego albo do kontraktu o gotowe dzieło, jeżeli tenże dotyczy sprawowania jakiegoś interesu, zastósowuje się odpowiednio przepisy §§ 663, 665, aż do 670, 672, aż do 674, a jeżeli osobie zobowiązanej służy prawo wypowiedzenia bez dotrzymania kresu wypowiedzenia, także przepisy § 671 ustęp 2.

§ 676. Jeżeli ktoś udzieli drugiej osobie rady albo rekomendacyi, to bez naruszenia odpowiedzialności wynikającej z jakiegoś stósunku kontraktowego albo z jakiej zakazanej czynności, nie ma on żadnego obowiązku do wynagrodzenia szkody powstającej ze zastósowania się do rady lub rekomendacyi.

TYTUŁ JEDENASTY.

Sprawowanie interesów bez polecenia.

§ 677. Kto sprawuje jakiś interes dla innej osoby nie mając od niej zlecenia albo nie będąc do tego wobec niej uprawnionym, winien interes tak załatwić, jak tego dobro tej osoby, dla której interes sprawuje, ze względu na jej istotną albo domniemalną wolę wymaga.

§ 678. Jeżeli podjęcie sprawowania cudzych interesów stoi w sprzeczności do istotnej albo domniemalnej woli tej osoby, dla której interes się sprawuje, a osoba sprawująca interes na tem poznać się musiała, natenczas jest ona zobowiązaną do wynagrodzenia osobie, dla której interes sprawowała, szkody ze sprawowania interesu wynikającej nawet wtenczas, jeżeli żadna inna wina na nią nie spada.

§ 679. Wola osoby, dla której interes się załatwia, w sprzeczności do sprawowania interesów pozostająca, nie wchodzi w rachubę, jeżeli bez załatwienia interesu, jakiś na osobie, dla której interes się sprawuje, ciążący obowiązek, którego spełnienie leży w publicznym interesie, albo jeżeli jakieś z ustaw do utrzymywania kogoś wynikające zobowiązanie osoby, dla której interes się załatwia, nie mogłyby na czas być spełnione.

§ 680. Jeżeli sprawowanie cudzych interesów ma na celu odwrócenie grożącego osobie, dla której interes się sprawuje, naglącego niebezpieczeństwa, to osoba interes sprawująca ma odpowiadać tylko za zamysł i wielką niedbałość.

§ 681. Osoba interes sprawująca, winna osobie, dla której go sprawuje, o podjęciu sprawowania interesów, skoro to jest możebnem, donieść i, jeżeli niebezpieczeństwo nie jest ze zwłoką połączonem, oczekiwać jej decyzyi. Wreszcie zastósowuje się do obowiązań osoby interesa sprawującej, odpowiednio przepisy §§ 666 aż do 668, odnoszące się do osoby z polecenia działającej.

§ 682. Jeżeli osoba interes sprawująca jest nieprawodzielną albo w prawodzielności ograniczoną, natenczas jest ona tylko podług przepisów opiewających o odszkodowaniu za czynności niedozwolone i podług przepisów stanowiących o wydaniu zysków z nieusprawiedliwionego zbogacenia odpowiedzialną.